Cena 15 kop.

ZŁOTY RÓG

NAJTAŃSZY POLSKI TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 53

WARSZAWA
Dnia 22 Grudnia 1912 r.

Warszawska Fabryka Wódek i Likierów
pod firmą
„Rektyfikacja Warszawska",

której wyroby na wystawach światowych nagrodzone zostały złotymi medalami, poleca Szanownej Klijenteli swoje znane gatunki wódek, likierów, Rumów i Koniaków, znajdujące się w pierwszorzędnych handlach win.

Wydawnictwa gwiazdkowe GEBETHNERA i WOLFFA

Album Henryka Sienkiewicza. Zbiór ilustracyi malarzy polskich do utworów znakomitego pisarza. Wydanie nowe, uzupełnione nową ilustracyą Piotra Stachiewicza „Staś i Nel". Wydanie w formacie folio na zbytkownym papierze, w ozdobnej oprawie	12.—
Collodic. Przygody pajaca. Z licznemi humorystycznemi ilustracyami w tekście. Karton rb. 1.20, w ozdobnej oprawie	1.50
Fitzpatrick Percy Sir. Przygody psa i jego pana w puszczy. Przełożył z szóstego wydania angielskiego Stefan Barszczewski. Z 166 ilustracyami w tekście oraz 16 tablicami osobnemi. Karton rb. 2.—, w ozdobnej oprawie	2.40
Gliński Kazimierz. Bajki. Z czterema artystycznie wykonanemi planszami kolorowemi oraz dwunastu czarnemi Konstantego Gorskiego. W pięknej kolor. okładce, kart.	2.80
Książeczki obrazkowe kolorowe: Miś i Kizia, k. —.50, Owoce i dzieci, k. —.50, Pan Wąsik i jego towarzysze, k. 50, Sambo i jego przyjaciele, k. —.50, Staś i Janek, ich figle i psoty, rb. 1.50, Wesoły ludek, Zofji Rogoszówny. Dwanaście obrazków dla dzieci, 1.50	
Kossak Wojciech. Wspomnienia. Z 8 planszami kolorowemi i 100 ilustr. w tekście autora, rb. 10.—, w ozdobn. opr.	12.—
Kwiaty Rodzinne. Wybór poezyi polskiej, ułożony przez Narcyzę Żmichowską, uzupełniony przez Or-Ota. Wydanie nowe rb. 1.50 w ozdobnej oprawie 2.— i	2.40
Laskowski Kazimierz. Dziesięć sportów dla młodzieży.—Podręcznik dla rozwoju życia sportowego. Z 94 ilustracyami w tekście rb. 1.50, karton	1.80
Mossoczowa M. Młodość poety. Z kolorowym wizerunkiem Zygmunta Krasińskiego. Karton	1.20
Ostrowski Stanisław. Śladami legionów. Opowiadania z bohaterskich walk legionów polskich we Włoszech. Z 10 rysunkami St. Bagieńskiego. Karton rb. 1.20, w ozdobnej oprawie	1.50
Polska pieśń miłosna. Antologia poetycka ułożona przez Jana Lorentowicza. Z 12 ilustracyami najwybitniejszych malarzy polskich rb. 3.— w ozdobnej oprawie	5.—
Przyborowski Walery. Bóg mi powierzył honor Polaków. Opowiadanie młodego Krakusa. Z 8 Rysunkami St. Bagieńskiego. Karton rb. 1.20, w ozdobnej oprawie	1.50
Toporczykówna Ewa. Dzieciarnia. Powiastki dla małych dzieci. Z 15 ilustr. oraz inicjałami J. M. Bruinier. Karton	1.20
Urbanowska Zofia. Cudzoziemiec. Opowiadanie przez autorkę „Księżniczki". Z 10 rysunkami. Wydanie nowe. Karton rb. 1.60, w ozdobnej oprawie	2.—
Weryho Marya. I ja już czytam. 50 powiastek dla małych dzieci. Wydanie piąte z rysunkami. Karton	1.—
Warnkówna Jadwiga. Władzio nad morzem. Opowiadanie dla dzieci od lat ośmiu. Z 6 rysunkami St. Sawiczewskiego. Wydanie nowe. Karton rb. 1. —, w ozdobnej oprawie	1.30
Włodkówna Bronisława. Julcia. Powieść dla młodzieży Z 8-ma ilustracyami Zygmunta Badowskiego. Karton	1.30
w ozdobnej oprawie	1.60
Żmijewska Eugenia. Jutro. Powieść współczesna. Okładka ilustracyjna Zygmunta Badowskiego 1.80, w oprawie karton	2.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Najdogodniejsze źródło dla handlów win i Stowarzyszeń spożywczych

PAROWA FABRYKA KAKAO, CZEKOLADY,

MARMOLADY i KARMELKOW

Czesław Twarowski

Warszawa, Chłodna Nr. 36. Telefonu Nr. 72-75.

poleca nowowypuszczone karmelki:

„JAPOŃSKIE" i „CHANTECLER"

Pierwszorzędny Hotel Restauracja

„SAVOY"

w Warszawie Nowy-Świat 56

(ce ntrum miasta.

SALON FRYZJERSKI

wykonywa wszelkie roboty wło-
sowe, loki, turbany, warkocz
Czesanie według ostatnich mo
deli paryskich, sumiennie i ni
drogo. Mycie włosów. Elektr
zacya włosów, opalanie koń
ców metodą paryską. Kosmety
ka. Manicure. Parowanie twarz

Valerie SIEMIANOWSK

Bracka 8, m. 11.

Pierwszorzędne

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Leokadyi Max

poleca nauczycielki, nauczyciel
freblówki, bony Polki. Sprowa
dza cudzoziemki z własnych biu
zagranicznych.

Warszawa

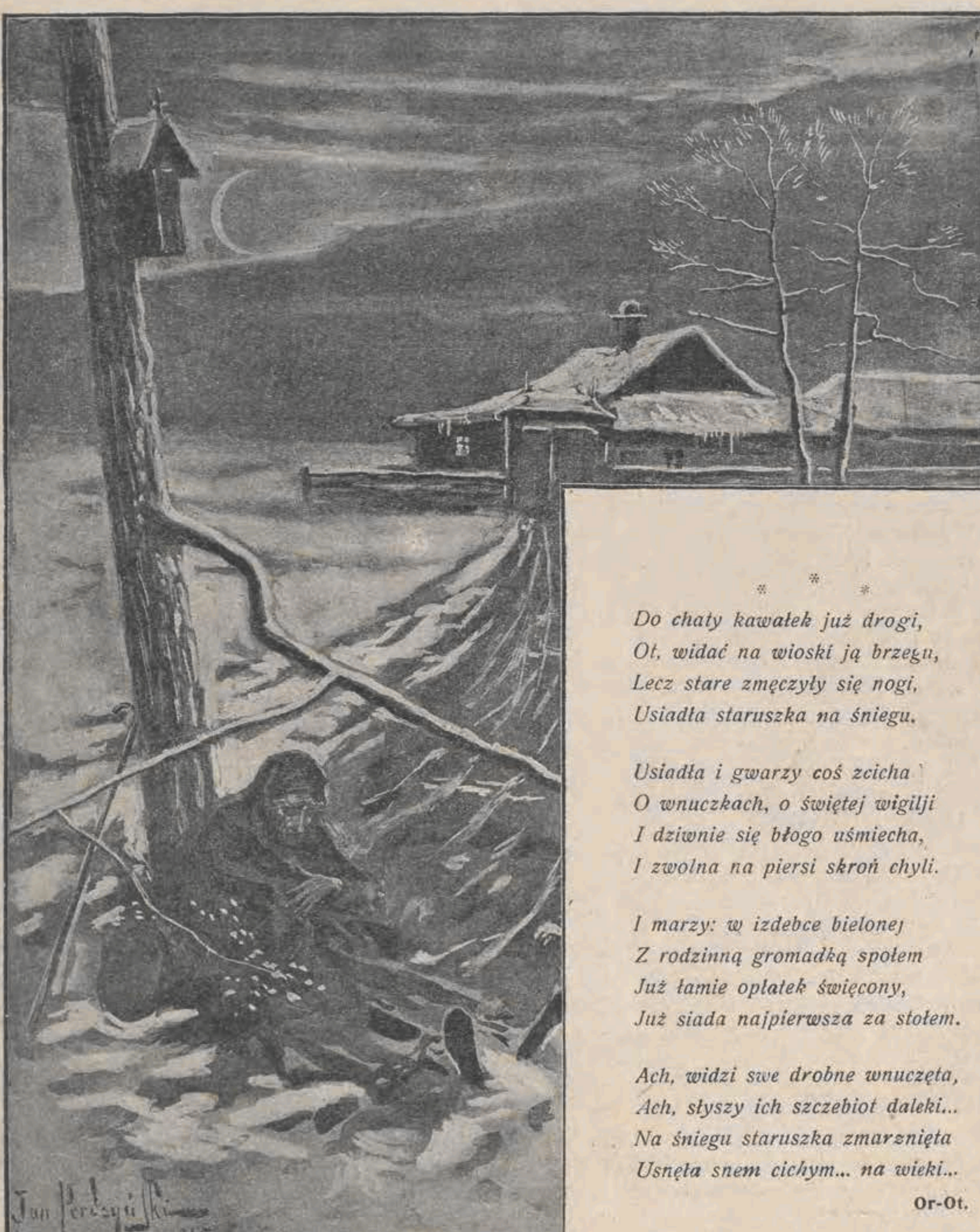
Mazowiecka 5. tel. 124-38.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY

REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

No 53

WARSZAWA
DNIA 22 GRUDNIA 1912 R.



* * *

Do chaty kawałek już drogi,
Ot, widać na wioski ją brzegu,
Lecz stare zmęczyły się nogi,
Usiadła staruszka na śniegu.

Usiadła i gwarzy coś zcicha
O wnuczkach, o świętej wigilji
I dziwnie się błogo uśmiecha,
I zwolna na piersi skroń chyli.

I marzy: w izdebce bielonej
Z rodzinną gromadką społem
Już łamie opłatek święcony,
Już siada najpierwsza za stołem.

Ach, widzi swe drobne wnuczęta,
Ach, słyszy ich szczebiot daleki...
Na śniegu staruszka zmarznięta
Usnęła snem cichym... na wieki...

Or-Ot.



Barna. Zwiastowanie.

W dzień Wigilji dzielimy się opłatkiem z Sz. Przyjaciółmi naszego pisma i przesyłamy najserdeczniejsze życzenia.

REDAKCJA „ZŁOTEGO ROGU".

JASEŁKA.

Twórcą uzmysłowiania wierzeń religijnych w kościele katolickim był św. Franciszek z Assyżu. On pierwszy urządza w noc Bożego Narodzenia w lasku pod Assyżem przedstawienie jasełkowe, w którem brały udział wszystkie osoby szopki z wyjątkiem Maryi i Jezusa. Zakon Franciszkanów pielęgnował przez wieki ideę swego założyciela i przeszczepił na grunt polski liturgiczny obchód, który indywidualność duszy narodowej na swój sposób z biegiem lat przeinaczyła. Szopka polska urosła z pieśni ludu, stała się bodajże najciekawszą etnograficzną wiązanką typów i charakterów ludowych stworzonych i opiewanych przez lud. Szopka powstała z przedstawień dramatycznych, urządzanych w okresie mięsopustnym i Bożego Narodzenia, odgrywanych w klasztorach i szkołach przez żaków i klechów.

Żywioł świecki wkradł się jednak do świątobliwej treści przedstawień urządzanych często w kościołach i krużgankach klasztornych i sprawił, iż widzowie bardziej byli radzi intermedjowym figurom komedji dell'arte, jak pulcinello, Hauswurst nasz Zabłocki i Twardowski, niżli bohaterom męczeńskich tragedji.

Papieże różnych czasów bullami wypędzali z kościołów przedstawienia jasełkowe na place publiczne i do domów zajezdnych. Wtedy dowcipni Franciszkanie spróbowali woskową figurką zawieszaną na sznurku a znaną w Chinach i Egipcie, wskrzesić zakazane widowiska w formie nowej. Lecz rozpasany żywioł świecki wyrwał sznureczki marjonetek z rąk mnichów. I znowu srogie bulle wyklinają szopkę marjonetkową z wnętrza kościołów i tłoczą ją pod strzechy wieśniacze w okolicach Warszawy później Krakowa i Poznania.

„Franciszkanie, dla większego powabu ludu do swoich kościołów przydali tym jasełkom ruchawości, między osoby stojące umieszczając chwilami ruchome, które szpary w rusztowaniu na ten koniec zrobione, wytykając na widok, braciszkowie zakonni rozmaite figle niemi wyrabiali. Tam żyd wytrząsał futrem, pokazując go z obu stron, jakby do sprzedania, drugi żyd mu je ukradł, stąd kłótnia wielka, aż żyd skrzywdzony pokazał się z żołnierzami i instygatorem, biorącym pod wartę złodzieja. Gdy taka rzecz zniknęła, pokazała się druga, naprzykład: chłopów pijanych, bijących się, albo szynkarka tańcująca z kawalerem, albo śmierć z djabłem, najprzód tańcująca a potem się bijące ze sobą i w bitwie znikające. To znów musztrujący się żołnierze, tracze drzewo trący i inne tp. akcje ludzkie, do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecinne tak się ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napełnione bywały spektatorem, podnoszącym się na ławki i na ołtarze włażącym; a gdy ta zgraja tłocząc się i przemykając jedna przed drugą zbliżyła się na metę założoną do jasełek, wypadał wtenczas z pod rusztowania, na którem stały jasełka, jaki sługa kościelny z prętem i kropiąc nim żywo bliżej nawinionych, nową czynił reprezentację dalszemu spektatorowi, daleko śmieszniejszą od akcji jasełkowych"...



Lorenzo da Sanseverino: Narodzenie Zbawiciela i obrzezanie.

W ten sposób przedstawia klasztorne jasełka kronikarz XVIII wieku, Kitowicz.

Wiemy, iż ruchoma szopka była znaną już w r. 1791 w Warszawie i Warszawa stała się ojczyzną polskiej szopki, którą rozwinęła w ujmujące swą prostotą widowisko w Krakowie.

Prof. Windakiewicz, Gloger i Kolberg zajmowali się w sposób naukowy treścią polskich jasełek i formą szopki wykazując jej samorodny rozwój i niezwykle ciekawe etnograficzne cechy. Mimo tych słów starał się w obszerniejszem studjum „Szopka krakowska a średniowieczna scena trójdzielna“ feljeton „Czasu“ 1908, lipiec 5, 6, 7, wykazać architektoniczną łączność szopki krakowskiej z trójdzielną sceną mysterjalną przedstawiającą ziemię, niebo i piekło i łącznością z teatrem Szekspirowskim.


Szopka krakowska z przed pół wieku.

Szopkę pokochali i poeci. Lenartowicz, Konopnicka Or-Ot napisali poetyczne teksty oparte na wzorach dawnej szopki tchnącej miłością Ojczyzny i odznaczające się poetyckiemi zaletami. Wyspiański napisał „Wesele“ z myślą o szopce krakowskiej. Prof. Bruchalski znakomity znawca literatury polskiej posuwa się do przypuszczenia, iż Mickiewicz pisał „Dziady“ z myślą o scenicznej formie szopki o trójdzielnej scenie, 3 światów. Jasełka zaliczyć możemy do jednych z najpiękniejszych obrzędów ludowych a zadaniem ludzi kochających lud jest baczenie, by widowiska te podtrzymywać w charakterystycznej formie dawnej, a ginące tu i ówdzie piosenki i ustępy szopki spisywać dla użytku Towarzystw i pism poświęcających swą pracę etnografji. Przytoczę charakterystyczny ustęp z szopki krakowskiej niewątpliwie ludowego pochodzenia.

Ułan i saper:

UŁAN.

Być ułanem aż miło,
Bogdaj się w życiu święciło,
Bo ułana wszędzie znają
Za ozdobę kraju mają
Ułan służy honorowi
Swej ojczyźnie i królowi,
Gdzie błyśnie ułańska pika
Zaraz nieprzyjaciel zmyka.

SAPER.

Saper większy od ułana
Walczy od nocy do rana
Bo fortece wielkie bierze
Stawia mosty, wali wieże.
A służy też honorowi
Swej ojczyźnie i królowi,
A gdy dobędzie oręża
Nie masz nad sapera męża.

UŁAN.

Nie chwal się tak mój bracie, bo nie saper który,
Ale ułan zdobywał w Hiszpanji góry.

SAPER.

Nie chwal się swemi góry tak bardzo radośnie
Bo ułanów nie było, aż kędy pierz rośnie.
Myśmy się bili z czarnymi murzyny,
Gdyś siedział na kwaterze koło dziewczyny.

UŁAN.

Hej! straszny gniew mię bierze! dobywaj pałasza,
Zobaczym, która lepsza, czy nasza, czy wasza.

SAPER.

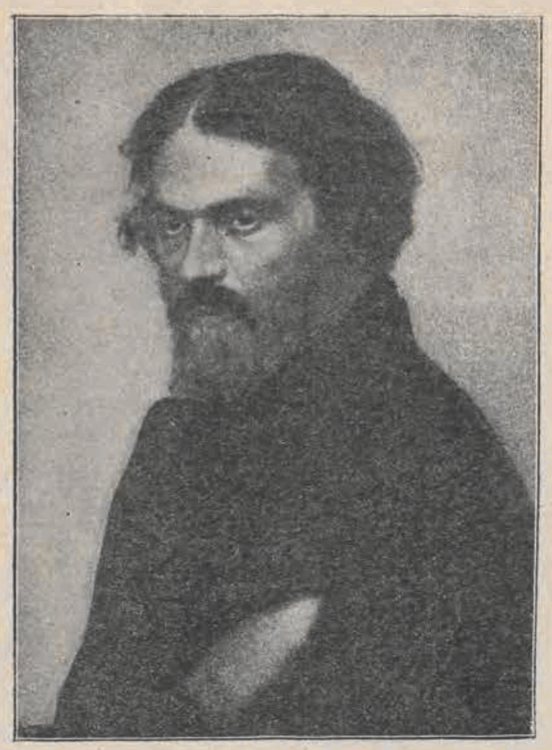
Zaraz ci to pokażę, bo się nie ustraszę,
Znam kartacze ogniste, znam też i pałasze
Zginiesz za swą zuchwałość, pokażę ci zaraz,
Jak saper za swój honor potrafi ukarać.

OFICER (wchodzi).

A co się to ma znaczyć? Dość hałasu tego!
Chcecie się bić przy szopie, nie dozwolę tego.
Czy was podmuchnął jaki duch nieczysty?
Nie warciście nazwiska wcale legjonisty
Marsz na odwach, wiarusy trzeba kary użyć
Żołnierz powinien szablą dla swej ziemi służyć.

Nakoniec dodaję, iż jedynie szopka polska posiada ruchome figury odgrywające akcję w odróżnieniu do szopek nieruchomych włoskich (słynny zbiór w monachijskiem muzeum narodowem) i niemieckich, które kiedyś zapewne, formę tę znały, lecz z biegiem czasu zarzuciły. Jasełka polskie są dziś specyficzną własnością i wytworem naszej ludowej sztuki i jako takie zasługują na miłość i opiekę.

Marjan Dienstl.



Cyprjan Kamil Norwid.
(W przeddzień 30-ej rocznicy zgonu).

Cyprjan Kamil Norwid.

Przed osiemdziesięciu ośmiu laty, urodził się w Warszawie Cyprjan Kamil Norwid, w kilkanaście już zaledwie lat potem wybitny poeta, malarz, rzeźbiarz, sztycharz i estetyk zaiste niepospolity. Wszakże rodzimi krytycy współcześni, którym utwory tej dziwnej organizacji artystycznej jakoś do smaku nie przypadły, wymawiali mu drwiąco i z przekąsem, że przyszedł na świat o sto lat za wcześnie.

Nie dobrze jest przyjść na świat zawcześnie. Cyprjan Norwid, twórca „Promethidiona", „Pieśni społecznych" i „Sztuki dla polaków" w roku 1883 umiera w przytułku św. Kazimierza w Ivry pod Paryżem—umiera nieznany, zapomniany, w opuszczeniu, w nędzy. Przez życie całe swoje, przez długi okres natężonej, owocnej pracy literackiej nie mógł się on doprosić u wydawców polskich łaski wydrukowania swych utworów w książce. Łaski tej dostąpił raz jeden ze strony wydawcy... niemca. W roku 1863 wychodzi zbiorek poezji Norwida u Brockhausa w Lipsku, jako 21 tom „Biblioteczki pisarzów polskich".



Piórkowy rysunek Norwida.

A potem — nic. Poezje w Polsce nie idą, nie idą też rozprawy i rozmyślania o sztuce, więc człowiek, który po polsku wiersze pisze i po polsku o sztuce rozmyśla, musi umrzeć na obczyźnie w przytułku dla starców i kalek. Drukują wprawdzie Norwidowi „wierszyki" po pismach— w „Czasie" krakowskim lub poznańskim „Gońcu polskim" drukują jednak niechętnie. Autor jest niejasny, zawiły „pełen dziwacznego mistycyzmu i zagadkowych myśli" więc większość nadesłanych przez niego rękopisów idzie do redakcyjnego kosza, gdzie przepada bezpowrotnie.

Nie dobrze jest urodzić się zawcześnie, wyprzedzić epokę swoją myślą i czuciem, bodaj o krok jeden jeżeli nie ma się jednocześnie za sobą jakiejś mocy gigantycznej, ażeby myśli owe i czucia narzucić otoczeniu siłą brutalną, jak conquisdator. Źle jest tworzyć nowe wartości, których współcześni oszacować należycie nie umieją. jeżeli się jednocześnie nie ma zdolności kupieckich, ażeby je im narzucić podstępem. Artyści przecież i myśliciele nie zawsze miewają temparament bojowników, lub kupców. To się mści. Niepojętego przez otoczenie poetę Norwida wykreślono wreszcie ze złotej tablicy twórców sztuki polskiej. Władysław Nehring w wydanym w roku 1866 podręczniku szkolnym „Kurs literatury polskiej" dla Norwida znalazł tyle tylko słów informacji, że „także lepsze lub gorsze wierszyki pisuje". Odtąd, po tej lekkomyślnej klasyfikacji podręcznikowej poważnego profesora, lekceważenie twórczości poetyckiej Norwida stało się oficjalnie usankcjonowane. Zabito go duchowo zanim śmierć przyszła zabrać ziemską powłokę. Kiedym w roku 1883, na kilka zaledwie tygodni przed zgonem Norwida, przypadkowo poznał go w przytułku św. Kazimierza, mówiono mi o nim: at taki niby poeta, niby malarz, niby rzeźbiarz, a w rezultacie „człowiek zwichnięty".

Krótkowzroczność panów Wężyków, Siemieńskich, Koźmianów, Gaszyńskich zrobiła swoje w opinji ogółu. A jednak wyliczania krytyków nie



Piórkowy rysnnek Norwida.

były zbyt ścisłe. Nie trzeba było aż stu lat, ażeby w dziejach literatury polskiej pamięć poety, przywrócono do czci należnej. Rehabilitację dorobku duchowego Norwida rozpoczął przed kilku laty wytworny poeta Miriam (Zenon Przesmycki) w wydawanej przez siebie „Chimerze", a oto już w roku zeszłym ukazało się nakładem Jakóba Mortkowicza z niesłychanym pietyzmem przez Miriama zebrane kompletne, utworów zapomnianego poety, wydanie. Wspaniała ta publikacja przynosi doprawdy zaczczyt wydawcy i nakładcy. Jest ona u nas poprostu zjawiskiem w tej dziedzinie wyjątkowem. Niesłychany, jak rzekłem, pietyzm w opracowaniu zgromadzonego mozolnie materjału, jak również strona typograficzna — druk, papier, odbitki rysunkowe i wogóle cały zewnętrzny wygląd tych ksiąg przepysznych stoi na tak wysokim poziomie estetycznym, że niepodobna nie zwrócić na to szczególniejszej uwagi, zwłaszcza w naszych stosunkach wydawniczych, gdzie niestety spekulacja produkuje zbyt wiele opłakanej tandety.

Wystawiono zapomnianemu niegdyś poecie pomnik trwały i godny jego zasług dostojnych. Jest tu może trochę owej smutnej, właściwej rzeczom ludzkim ironji losów. Pamięci zasłużonego pracownika wznosi się monument niespożyty po śmierci, ażeby mu wynagrodzić gorzkie chwile marnej niesprawiedliwości bliźnich za życia. Przesmycki nie żałował trudu i zabiegów ażeby pomnik ten wypadł możliwie najświetniej.

Miriam sam wybitny poeta i esteta wytrawny, w Panteonie poezji polskiej wyznacza Norwidowi miejsce zaszczytne.

W „Cyprjana Norwida" Pismach Zebranych, pomieszczono wiele doskonałych rysunków, akwareli i sztychów tego dziwnego człowieka. Przedstawia się on w nich bynajmniej nie jako dyletant, bawiący się w wolnych od innej pracy chwilach ołówkiem, lub rylcem, lecz czasem jako artysta zdecydowany w pełnem wyrobieniu zawodowem i wcale nieprzeciętnej fizjognomji indywidualnej. Jako malarz posiada wiele bardzo fantazji, poczucie ruchu i plastyki, a także i przedewszystkiem świadomość celów i środków sztuki.

W pierwszym rzędzie i w każdej ze sztuk, które uprawiał, jest on artystą—estetykiem i radby poczucie swoje estetyczne przelać na kręgi jaknajszersze narodu swojego i w tym właśnie kierunku objawia się jego czyn obywatelski — propaganda estetyczna przez „Miłość".



Cyprjan Norwid. Głowa kobieca.

Tak śpiewa w „Promethidionie:

„Kto kocha—widzieć chce choć cień postaci
I tak się kocha matkę — ojca — braci —
Kochankę — Boga nawet... więc mi smutno,
Że mazowieckie ani jedno płótno
Nie jest sztandarem sztuce—że ciosowy
W krakowskiem kamień zapomniał rozmowy,
Że wszystkie chaty polskie krzywe, że kościoły
Nie *na ogivie* polskim stoją, że stodoły
Za długie, świętych figury patronów
Bez wyrazu — od szczytu wież aż do zagonów
Rozbiorem kraju forma pokrzywdzona woła
O łokieć z trzciny w ręku Pańskiego Anioła".

Takich to rzeczy nie zrozumieli krytycy owej epoki i upatrywali w nich ciemność i zawiłość. Rzucono hasło: „Niezrozumiały, zmanierowany, pretensjonalny". Trzeba było dopiero, ażeby przyszedł anglik Ruskin, który głosił to samo słowo w słowo, do czego doszedł intuicyjnie nasz biedny, zapoznany Norwid. Chciał on, ażeby sztuka polska była utworem myśli i uczucia narodowego, ażeby objawiała się we wszystkich momentach naszych poczęć aż do najpospolitszych prac dnia codziennego.

„Każdy naród, pisze w Epilogu, przychodzi *inną drogą* do uczestnictwa w sztuce; ile razy przychodzi tąż samą, co i drugie, to *nie on* do sztuki, ale sztuka *doń* przychodzi i jest rośliną egzotyczną i niema tam miejsca na artystów... Tak jest gdzieniegdzie do dziś.



CyprjanNorwid. Piłat.

Tak było przedewszystkiem u nas zwłaszcza w stosunku do sztuk plastycznych. Tkwił tu odwieczny przesąd szlachecki. „Wspomnę też tu, pisze w „Dworzaninie" Górnicki, żem Dworzaninowi malowania nie znaczył, bo mi się widzi niepotrzeb-



Piórkowy rysunek Norwida.

ne, a też naszym Polakom, którzy *delica tum palatum* niedawno mieć poczęli, nie szło to by w smak...

„Czy mamy się, zapytuje Norwid, w wieku XIX na tej estetyce Górnickiego, jak na całej zdobyczy w *polskiem sztuki pojęciu*, oprzeć?..

Zapewne pękły już dawne przesądy. Dziś w wieku XX odbiegliśmy daleko od światopoglądów pisarza z XVI stulecia. Mamy wielu wybitnych artystów plastyków, idee Ruskina, tak do niedawna jako import zamorski modne, przeniknęły, zda się, do najszerszych warstw społecznych, niemniej przecież sztuka w wielu razach jest jeszcze u nas rośliną egzotyczną. Dużoby się dało na ten temat powiedzieć i dużo w tym zakresie u Norwida odnaleźć gotowych sformułowań.

„Kto powiada — Anglik na to, by brzytwy robił, a Włoch by malował, i t. d., a my *za pieniądze* kupim wszystkiego,—w błędzie jest — nie zna rzeczy — *bo pieniędzy nie będzie,* jak się pracy u siebie do godności *czynnego myślenia uświęconej modlitwą sztuki* nie podniesie... Bo to nie jest tak, jak ci panowie myślą,—u Anglika ono robienie brzytwy, a u Włocha ono malowanie, a u Polaka sianie zboża, to tylko *punkt wyjścia pracy*, nie zaś cała ich praca. Każdy musi odrabiać swą pańszczyznę Adamową".

W dążeniach, jakie nowa estetyka zaznacza w kierunku uartystycznienia wytwórczości przemysłowej, niekoniecznie chodzi o to, ażeby każdy przedmiot ozdobiony był malowankami, czy wycinankami, ale, ażeby posiadał cechy owego artystycznego zamiłowania w doskonałości. Tak się wyraża walka estetyków z obrzydliwością tandety spekulacyjnej.

„Rozdzielenie *ekspozycji* publicznych na ekspozycje czyli wystawy sztuk pięknych i rzemiosł albo przemysłu jest najdoskonalszym dowodem, o ile sztuka dziś swej powinności nie wypełnia. Wystawa powinna być, przeciwnie tak urządzona, ażeby od *statui* pięknej do urny *grobowej*, do talerza, do szklanki pięknej, do kosza uplecionego pięknie, cała cyrkulacja idei *piękna* w czasie danym uwidomioną była".

To się już spełniło. Wystawy nasze przygarnęły pod swe skrzydła tak zwaną sztukę stosowaną na równi z dostojną sztuką czystą.


Piórkowy rys. Norwida.

Postawienie miłości, to jest uczucia jako czynnika twórczego w tej dziedzinie jest również najzupełniej zgodne z teorją estetyki najnowszej, która głosi, że właściwie sztuka nie jest niczem innem, jeno środkiem uczuciowego porozumienia się ludzi między sobą.

Norwid intuicyjnie wyprzedził epokę swoją i padł zapoznany. Kto wie coby się stało z Wyspiańskim, gdyby się był z tą swoją indywidualnością ciekawą urodził o czterdzieści lat wcześniej? Wszakże i jemu zarzucano niejasność i zawiłość, a także nie poważne jakoby przerzucanie się od sztuki jednej do drugiej. A jednak Wyspiański umarł otoczony uznaniem i pochowany został na Skałce.

„Orle, Norwidzie, wiek twój idzie"! Pisał kiedyś po pierwszych wystąpieniach poetyckich Norwida, Antoni Czajkowski —idzie,— niestety, w trzydzieści lat po śmierci.

T. Jaroszyński.


Stanisław Wyspiański.
(W 5 rocznicę zgonu).

Stanisław Wyspiański.

W „długie narodowe noce", kiedy słabną i niemieją dusze, zesłany bywa duch potężny, który się wlewa w żyły narodu, jak strumień krwi gorącej. Wstrząsa się nagle naród cały, jak od uderzenia pioruna. Błyskawica oślepia oczy od krańca do krańca, lecz po chwili przejrzą one i staną się — jasnowidzące.

Taką błyskawicą był Wyspiański. Spoczął na Skałce — coraz rzadziej jest imię jego na naszych ustach. Grabarze, którym syty sen zamąciło to olśniewające wieszcza zjawisko, przysypali grób jego gliną i pleśnią, by nie był widny narodowi. Osłabło to napięcie ducha, które z przypływem jego siły i pieśni stawało się w narodzie. Lecz zapominać o Wyspiańskim nie wolno. Ilekroć znów jego księgi weźmiemy do ręki, ocknie się w nas wola do czynu i tęsknota ku słonecznym szczytom. Wyspiańskiego dzieło jest źródłem młodości i zdrowia. Od żywego zetknięcia z nim zależeć będzie czynna energja młodych pokoleń.

Kiedy duch olbrzymi i twórczy stanie na ziemi, wtedy wszystko, czegokolwiek dotknie jego władna prawica, wzbierze nowem życiem, odmłodnieje, poruszy się, rozszerzy. Twórca wszystko odradza. Twórca wszędzie budzi rozpęd i moc dokonań.

Zarówno dla życia indywidualnego, jak dla życia narodowego przyniósł Wyspiański wieść wyzwolenia. Przyniósł cudne prawo harmonji, które rozdarte dziedziny życia kojarzy. Wskrzesił w nowych symbolach to, co nieprzedawnieni prawodawcy życia polskiego — Słowacki, Krasiński i Mickiewicz — wypowiedzieli ku podniesieniu pokoleń.

Kamieniem węgielnym mesjanizmu naszego była ofiara. Ofiara dla zwycięstwa prawdy duchowej każe odrzucać cudne, rozśpiewane, słoneczne życie. Przez śmierć i mękę, jak w „Legionie" wiedzie ku zmartwychpowstaniu. Lecz z oka-



Stanisław Wyspiański. **Siostry.**

mienienia boleści budzi się dusza do miłości i szczęścia (Akropolis). W imię wyłącznej ofiary nie można odrzucić słonecznego życia. W imię szczęścia i piękna nie można odrzucić ofiary i uduchowienia. Dwie dziedziny życia, państwo ziszczeń ziemskich i państwo niebieskich uduchowień. łączą się w symbolu „Chrystus-Apollo". Bolesna twarz Chrystusa rozjaśnia się radością i upojeniem ziemi, nieskazitelnie piękna twarz Apollina przepromienia się głęboką, ofiarną wiedzą Chrystusa. To, co było rozdarte, kojarzy się odnowa. I tak ma być zarówno w duszy jednostki, jak narodu. Duch narodu ze sfery „Legionu" wstępuje w sferę „Wesela".

W bolesnych klęskach, w krwawej niedoli leży zawsze na dnie czyjaś wina. Jeżeli wola bohatera i wola narodu tak bezlitośnie o przeszkody się rozbija, to przyczyną jest zawsze brak najwyższego wysiłku i doskonałości najwyższej. Wyspiański mówi nie tylko o czynie duchowym, lecz i o jego wcieleniu w kształt widzialny. Żaden z naszych twórców współczesnych nie miał w sobie tak tytanicznej woli czynu, jak on. I żaden z taką rozdzierającą boleścią nie patrzył, jak ten czyn w rękach słabych załamuje się i kruszy. Wina to ludzi, co czyn podjęli. W „Warszawiance", Weselu", „Nocy Listopadowej" pokazuje nam Wyspiański, jak piękna poza, brak przejęcia się sprawą ogólną, zapomnienia o sobie, wreszcie krzywda dziejowa nie pozwala zwyciężyć. I jest w tem wielka otucha.

Jeżeli odsuwa od nas chwilę dokonania własna nasza „niemoc serdeczna", nie zaś niezwalczone przeszkody zewnętrzne, to dość zleczyć tę niemoc serdeczną, a

Kiedyś godzinę wołaną
Będziemy, będziemy mieć.

Powstał nowy Konrad, który krzyknął śmiało: „Dla mnie żywota prawo". Powstał w narodzie polskim człowiek o duszy zwycięskiej. I ten poeta-bohater musiał patrzeć, jak w chwili rozstrzygającej gubimy złoty róg... Musiał patrzeć, jak w chwili dziejowej ogarnia nas drzemka, jak Gospodarza w „Weselu"...

Czuwać, czuwać — nawoływał nas próżno. Bo on nie dążył do cichego zadowolenia. On dumnie rzucał losowi:

O spokój duszy nie stoję,
gdy marną kupiony dolą
i kala ręce niewolą.

On ukazał się w słonecznym wozie, w wichurze barw, w twórczej potędze nad coraz to podlejszem targowiskiem i wołał piorunowem słowem:

Powiodę was do górnych sfer
Do szczytów, szczytów ducha,
Gdzie Wielkość dzierży nawy ster
I kędy Wieczność słucha.

Czyż już odwionął w nieskończoność ten przypływ twórczego ducha, który się wcielił w Wyspiańskim? Czyż zapomniane jego słowa-błyskawice, jego tony-pioruny? Cień jego olbrzymi jeszcze jest nad narodem. Czyż słów nie słyszycie, że trzeba czuwać wśród nocy?

Miałeś, chamie, złoty róg,
Ostał ci się jeno sznur...

Pieśnią Wyspiańskiego się karmcie. Niech w nas rośnie bohaterska wola...

Savitri.



Stanisław Wyspiański. **Niemowlę.**

Wyspiański jako malarz.

Położenie geograficzne Polski zrobiło z niej wał ochronny i przedmurze przeciw naporom brutalnym z Zachodu i dzikim nawałnicom wschodnim; naród polski musiał się stać rycerskim i rolniczym, a usunąwszy ze swego zakresu wszelkie rękodzielnictwa i sztuki plastyczne, nie wytworzył w tym kierunku własnych tradycji. Zadziwiający swym rozkwitem rozwój sztuk pięknych w Polsce, w czasie XIX stulecia, pochodzi z warunków nowych i gruntownie innych, w jakich się znalazł kraj i naród nasz, a warunki te, nie tylko wpłynęły na ten rozwój, ale i na charakter, jaki sztuka polska przybrała.



Stanisław Wyspiański. W zamyśleniu.

Prowadząc walkę ciężką i uporczywą o rozwój *dzisiaj*, mając przed sobą *jutro* ciemne, mgłą tajemniczą osłonięte, musiały inteligentne warstwy narodu polskiego zwrócić się ku jasnej i świetnej *przeszłości* swej, nią się krzepić, w niej szukać otuchy, z nią ścieśniać węzły tradycji, z niej wysnuwać wiarę w lepszą przyszłość.

Dlatego to sztuka polska, a więc poezja, muzyka i malarstwo nabrały cech tak wybitnie narodowych, tak charakterystycznie polskich.

Kierunek, tak zwany historyczny, rozwinął się w malarstwie europejskiem w pierwszej połowie XIX w. w sposób zupełnie normalny i niczem szczególnem się nie zaznaczył, był w malarstwie polskiem nie tylko typowym, ale przybrał charakter potężny, żywiołowy, wydał genialnego Matejkę i jego wielkiego ucznia—Wyspiańskiego.

Od lat najmłodszych otoczony atmosferą przeszłości narodowej, której symbolem jest potężny Wawel, Wyspiański wszystkiemi siłami swej duszy *przeszłość* tę wyczuwał i wchłaniał, *nią* żył, na *niej* talent swój urabiał i tylko *jej* talent swój poświęcił. Dzieckiem jeszcze będąc, biegał na Wawel i rysował jego omszałe mury i zakątki pełne legend cudownych; gdy był uczniem szkoły św. Anny, cały czas wolny spędzał w Muzeum Narodowem i szczegółowo, z pietyzmem rysował zabytki pochodzące z epok przeszłości polskiej, a ukończywszy szkołę, odbył kilkumiesięczną wędrówkę po kraju, w czasie której wykonał setki rysunków z gmachów kościelnych i innych, oraz z przeróżnych dzieł i zabytków, jakie w kościołach i gmachach świeckich zainteresowały go formą artystyczną, znaczeniem historycznem, albo archeologicznem.

Gdy Wyspiański następnie w Szkole Sztuk Pięknych został uczniem Matejki, którego czcił i kochał od lat swych najmłodszych i pod wpływem którego zawsze się znajdował, mógł rozwijać talent swój w kierunku ulubionym, i w rzeczy samej, ćwiczy się w kompozycji tematów historycznych, a następnie powołany został przez Matejkę do pracy przy polichromji kościoła Marjackiego. Udział ten w pracy mistrza i pod jego okiem ostatecznie zdecydował po jakiej drodze talent Wyspiańskiego miał kroczyć. A droga ta doprowadziła go na szczytne wyżyny.

Wyjechawszy po raz pierwszy zagranicę Wyspiański zarówno w północnych Włoszech jak i we Francji i w Niemczech studjuje prastare świątynie gotyckie i przejmuje się coraz głębiej i silniej sztuką średniowieczną; przejmuje od niej nie tylko sposób widzenia, ujmowania tematów, ale i środki wypowiadania się technicznego. Drugi i dłuższy, bo trzyletni pobyt w Paryżu, formuje ostatecznie indywidualność artystyczną Wyspiańskiego, która wchłania w siebie, a następnie gruntownie przerabia, wpływy takie jak impresjonizmu, sztuki japońskiej i kierunku jaki zaznaczać się począł w malarstwie francuskiem przez prace Cezaune'a, i Gauguin'a.

Już wówczas w Paryżu, Wyspiański, jakkolwiek jeszcze nie zupełnie owładnął środkami technicznymi, zaznaczył rodzaj właściwej sobie twórczości i ukazał sposoby techniczne, które, następnie doprowadził do wysokości mistrzowskiej i wielce oryginalnej. W witrażu do katedry lwowskiej, mającym za temat „Śluby Jana Kazimierza", odtwarza przeszłość i staje się kontynuatorem kierunku historycznego, przyczem w sposobie ujęcia tego tematu wykazuje nadzwyczajne zdolności dekoracyjne, zaś w studjach i licznych głowach portretowych nadaje linji konturowej dominujące znaczenie. A ta linja jest pełna życia, lekka ale śmiała i stanowcza, kapryśna i zmienna, nerwowa, chaotycznie powikłana, lub płynna i jasna, zależnie od stanu podniecenia nerwowego artysty w chwili gdy tworzył, mniej zaś od formy przedmiotu wyobrażanego.

Ta linja podnosi znaczenie dekoracyjne prac Wyspiańskiego, ona obrysowuje wszelkie powierzchnie i płaszczyzny, bez silnego ich zaznaczania plastycznego, co wszystkim pracom jego, nie wy-



Stanisław Wyspiański. Głowa mężczyzny.

łączając portretów, nadaje charakter witrażowy. Ta również linja, mimo pozorów krańcowo-modernistycznych, zbliża prace Wyspiańskiego do dzieł artystów średniowiecza i jest bardzo pokrewną linji gotyckiej, silnej, nerwowej i dekoracyjnej.

Twórczością malarską (i poetycką) Wyspiańskiego owładnął duch przeszłości; artysta zwraca swą uwagę na prastare, poniszczone witraże z XIII i XIV w., zawieszone w krużgankach kościoła O.O. Dominikanów w Krakowie, z nadzwyczajnym pietyzmem stara się je odrestaurować, uzupełnić, przywrócić im charakter pierwotny. Gdy w czasie restauracji kościoła ś-go Krzyża, (również w Krakowie), ukazały się pod tynkiem resztki starych malowideł freskowych, Wyspiański, porzuca własne projekty i przygotowane prace jakiemi miał pokryć mury tego kościoła i poświęca to wszystko dla owych zniszczonych malowideł, jedynie dlatego, że one pochodzą z XVI stulecia, że pochodzą z okresu świetnej przeszłości naszej, że na nie patrzał Zygmunt Stary, Bona, trzynastoletni wówczas Zygmunt August i cały dwór królewski!

Umiłowanie ojczyzny i jej przeszłości ponad wszystko inne sprawia, że Wyspiański z lekkiem sercem czyni ofiarę z własnych projektów i prac, byle tylko wydobyć na jaw świadectwo tej przeszłości. Dla niej też tworzy genialne, potężne projekty witrażów wawelskich, a nie jego wina, lecz zaślepienie kasty naszego społeczeństwa sprawiło, że te najbardziej oryginalne, a owiane potęgą tytaniczną, dzieła nowoczesnego malarstwa naszego nie otrzymały formy ostatecznej, że powstały w kartonach, gdy powinny być jako witraże umieszczone w oknach katedry, dla jej i sztuki naszej blasku.

Z całego szeregu pomyślanych witrażów Wyspiański zdołał wykonać tylko trzy kartony, a w ich lapidarnych formach wyraził straszliwy tragizm przeszłości naszej: nicość męstwa oręża polskiego i ofiar, jakie naród nasz ponosił na polach walk, uosobionych w tragicznej śmierci Henryka Pobożnego, poniesionej na polach Lignicy; klątwa ciążąca nad dolą narodu naszego, a rzucona przez krakowskiego biskupa, Stanisława świętego; w prochy zbutwiałe obrócona potęga narodu polskiego, upostaciowana przez szkielet Kazimierza Wielkiego i jego łachmany królewskie!

Trzy tylko dzieła, a w nich odźwierciadliła się cała historja wielkiego narodu!

Zaczarowane w tych witrażach przepotężne formy wywołują w widzu wrażenie grozy, budzą w duszy myśli głębokie i smutkiem poważne, wywołują wspomnienia bolesne, zmuszają do przeprowadzenia porównania z teraźniejszością, rozsnuwają obrazy niejasnej przyszłości. To też prócz potężnych kreacji Matejki, żadne inne dzieło należące do sztuki polskiej nie osiągnęło tych wyżyn co genialne witraże Wyspiańskiego, żadne inne nie przemawia do duszy widza tak bezpośrednio, łącząc doznawane przez nią wrażenia z takiemiż, przeżywanemi przez artystę.

W innych swych arcydziełach, w witrażach zdobiących presbiterjum kościoła O.O. Franciszkanów w Krakowie, okazał się Wyspiański głębokim znawcą dusz i uczuć ludzkich.

W postaciach ś-go Franciszka i św. Salomei drga przedziwna jasność potęgi modlitwy, wielkiej wiary, zaparcia się ofiarnego. Na jednej i na drugiej twarzy widać zachwyt ekstazy, ślady umartwień, postów, nocy bezsennych, spędzonych na rozmyślaniach, a jednak jaka zarazem zachodzi pomiędzy temi dwoma postaciami ogromna różnica! Gdy w osobie ś-go Franciszka widzimy pokornego mnicha — żebraka, ukazuje się nam ś-ta Salomea, jako w każdym calu księżna, jako



Stanisław Wyspiański. Dziewczynka.

ta, co urodziła się na królewskim tronie Piastów, a jakkolwiek z osłabionych umartwieniami rąk upuszcza za ciężką dla swych skroni koronę królewską, jest jednak pełna królewskiej dumy.

To odczucie subtelnych różnic duchowych zaznacza się i we wszystkich portretach wykonanych przez Wyspiańskiego, które są nietylko podobizną zewnętrzną portretowanych, lecz odbiciem ich charakterów. Nie znajdujemy pomiędzy nimi twarzy tak zwanych ładnych, gdyż one są zazwyczaj banalne, lecz takie, które zainteresowały artystę jakimkolwiek rysem duchowym. Więc też w dorobku artystycznym Wyspiańskiego zajmują poważne miejsce studja głów kobiecych lub główek dziecięcych, smutnych, chorowitych, biednych, o rysach nieregularnych, nieuposażonych pięknością, bo smutna dusza artysty, czuła na wszelki ból, na upośledzenie, krzywdę, widziała cząstkę samej siebie w tych istotach odpychanych przez zimny, obojętny ogół. Wyspiański musiał więc tylko takie a nie inne malować twarze, a raczej wyrazy duszy, bo one były z jego duszą pokrewne, a odtwarzając je, dawał samego siebie.

To subtelne wyczuwanie duszy i charakteru pozwoliło Wyspiańskiemu tworzyć przedziwne krajobrazy, oparte na najprostszych, najzwyczajniejszych motywach, jakich mu dostarczały wioski z okolic Krakowa, lub błonia przylegające do tego miasta. Te różne obejścia gospodarskie, wnętrza izb, a głównie droga prowadząca do kopca Kościuszki, jedyny krajobraz, jaki przez długi szereg miesięcy widział schorzały artysta z okna swej pracowni, są nie tylko pełne słonecznego czaru miesięcy letnich, nie tylko przejmują uczuciem chłodu śniegu spowijającego zmarzniętą ziemię, gdyż one dyszą swojskością, właściwą tylko krajobrazom naszym, polskim.

Lecz nie tylko sama subtelność wyczuwania stron dziejowych ale i dekoracyjne wyczucie i takież ujęcie tematów były właściwością talentu Wyspiańskiego, a razem połączone obie te cechy nadają jego dziełom urok niezwykłego piękna i oryginalności. Witraże zdumiewają nie tylko potęgą figur i ich wyrazem, lecz i dekoracyjnością ujęcia; to samo widzimy i w przepysznych ilustracjach do Iljady, w których duch starohelleński wraz z wyrazem uczuć ogólno-ludzkich i dekoracyjnem traktowaniem łączy się w jedną nieporównaną w swej piękności i głębi duchowej całość.

Najwięcej okazji do wykazania genialnie twórczych zdolności dekoracyjnych dały Wyspiańskiemu kwiaty polne nasze, którymi on pokrył ściany presbyterjum i nawy poprzecznej w kościele Franciszkanów w Krakowie i umieścił tam w płomiennych witrażach, oraz na ścianach Domu Towarzystwa Lekarskiego. Te kwiaty, które tak kochał, które „mówiły“ do niego pięknem swych skromnych form, w których on widział (zupełnie słusznie) podwaliny do wyrobienia się naszego, polskiego stylu!

Ten genialny artysta nie rozumiał sztuki innej jak ta, która łączy myśl głęboką z doskonałością i oryginalnością formy i taką jest sztuka jego, takiemi są jego dzieła. Wyczuwał tylko przeszłość ojczystą i najwspanialsze prace swe jej poświęcił. Był ostatnim przedstawicielem zmodernizowanego przez siebie kierunku historycznego, jaki obecnie w sztuce naszej zamarł, ale który wydał najświetniejsze jej dzieła i największego mistrza Matejkę.

Twórczość Wyspiańskiego nie otwiera dróg nowych (prócz czysto dekoracyjnego kierunku) w malarstwie naszem. Jego wielki talent zamyka kartę wspaniałą i świetną ale specjalną w rozwoju sztuki naszej. On na karcie tej wypisał swe nazwisko złotemi głoskami nieśmiertelności.

Wincenty Trojanowski.

BAWARJA A PRUSY.

(Z powodu zgonu ks. Luitpolda bawarskiego).

Zmarł Luitpold, regent bawarski. Fakt ten sam przez się nie byłby dla nas na tyle zajmującym tematem, żebyśmy mieli więcej miejsca temu poświęcać. Lecz stosunek Bawarji do pruskich naszych wrogów a z drugiej—tajemniczość, która mroczne swe skrzydła nad domem Wittelsbachów rozpościera, wszystko to, bądź co bądź, bardziej uwagę naszą przykuwa niż miałoby to miejsce przy zgonie tego lub owego monarchy.

Nie tylko bawarski dom panujący lecz i ludność cała nie znosi prusaków, uważając ich za *rodzaj niższy*, parwenjuszów, nie dorównywających ani kulturą, ani poczuciem piękna, artyzmu i sztuki narodowi tak wysoko pod tym względem stojącemu jak Bawarzy.



Ks. Luitpold,
zmarły regent bawarski.

Kult dla sztuki, panujący w sercu Bawarji w Monachjum, jest już dostatecznym wyrazem poziomu na jakiem całe społeczeństwo tamtejsze stoi. Jedna z najsłynniejszych szkół sztuk pięknych, najwspanialsza galerja obrazów — Pinakoteka, pałace sztuki, szczególna opieka jaką otaczają tam wszystko co ma tylko jakikolwiek związek ze sztuką, nie wyłączając przedewszystkiem samych artystów, których tam mnóstwo zjeżdża się ze wszystkich stron świata i z naszej łzawej Polski — to przecież świadectwo tej kultury ducha, o jakiej sztywnym zmilitaryzowanym i zmaterjali-

zowanym prusakom nawet śnić się nie może.

W Monachjum, też na każdym kroku, zaznaczają mieszkańcy swą odrębność narodową — nie mającą nic wspólnego z prusactwem i ich butnymi władcami.

Związek Rzeszy, jak wiadomo, ma tylko militarne znaczenie, czyli, że w razie wojny, naczelne dowództwo nad związkowemi armjami obejmuje cesarz niemiecki, każde jednakże z państw związkowych ma swój własny rząd, własne ministerja i własne wojska, które na rozkaz swych monarchów gotowe są nawet nastawić bagnety i lufy przeciwko pruskim knechtom.

Hegemonja pruska radaby żelazną swą łapą wycisnąć piętno na swych sprzymierzeńcach, i zakusy w tej mierze już nieraz nawet miały miejsce, lecz jak dotychczas związkowcy dość skutecznie opierali się temu, co nieraz napsuło krwi zaborczemu berlińskiemu rządowi.

Regent bawarski Luitpold, który zmarł obecnie w 90 roku życia, objął rządy państwem w 1886 roku, po ogłoszeniu króla Ludwika II jako niepoczytalnego na umyśle.

Trudno przesądzać czy rzeczywiście nieszczęsny Ludwik II był chory umysłowo; była to raczej natura wrażliwa, przeczulona, poetycka i prawa, to też rozbestwione prusactwo z Bismarckiem na czele nie mogło spokojnie znosić tego *dyssonansu* w całokształcie związkowej monarchji. Machinacje fałszerza depeszy, *) żelaznego kanclerza Rzeszy, doprowadziły w końcu do tego, że ogłoszono króla Ludwika II za obłąkanego, a do steru rządów został powołany stryj królewski Ks. Luitpold. 13 czerwca, czyli w trzy dni po tem, znaleziono ciało króla w jeziorze razem z ciałem d-ra Guddena, pachołka Bismarckowego, z którym snadź nieszczęsny król straszliwą walkę przedśmiertną stoczył.

Mrok tajemniczy osnuwa jednak ponurą historję tragicznego króla-poety i romantyka, który w bezgranicznem oddaniu się myśli stworzenia idealnego środowiska dla duszy artystycznej, sprowadzał do swoich licznych w sposób średniowieczny budowanych zamków, artystów z całego świata; był nadto przyjacielem Wagnera, któremu starał się stworzyć warunki najbardziej odpowiadające **j e g o** twórczości. I tak np., srebrzysty łabędź, sunący o wieczornej porze po rozzłoconej tafli jeziora natchnął genialnego przyjaciela królewskiego do napisania *Lohengrina*.

Nieraz, smutna, melancholijna struna na lirze poety wskrzesza z mgły wspomnień, subtelną bratnią—duszę tragicznego króla.

Przytaczam niżej piękny nastrojowy sonet, młodego utalentowanego poety J. Appenszlaka, poświęcony nieszczęśliwemu monarsze:

Do ogrodu król schodzi po stop-
[niach tarasu,
I oczy smutkiem łzawe, w zadumie
[przymyka,
Marzy mu się przecudna, stara
[bukolika
Znaleziona w ruinach zamku, po-
[śród lasu.
Z otwartych okien płynie poszum-
[na muzyka,
To Wagner gra. Na grzmiącej,
[ciężkiej chmurze basu,
Andante się wyłania z akordów
[hałasu,
I złotą nicią, pieśni cudny haft
[przetyka.
Srebrny łabędź na stawu toni się
[kołysze,
Słoneczne blaski, szybko, jak po
[tafli suną
I czajki gdzieś się kryją, pomię-
[dzy kamysze...
Nagle Wagner zapłakał wiolinową
[struną,
I smutno się zapatrzył król, w błę-
[kitu ciszę.
Niepewny... czy odnajdzie kiedyś...
[złote runo.

Po śmierci Ludwika II ogłoszono królem Ottona I, który jako rzeczywiście obłąkany i furjat, od lat 26 panuje tylko nominalnie.

Obecnie rządy państwem objął syn Luitpolda - Ludwik III, ur. w 1845 r., nieprzejednany przeciwnik, jeżeli nie wróg prusaków, który nieraz już występował ostro przeciwko hegemonji pruskiej, to też Berlin niezbyt rad jest z nowego władcy i pewne zaniepokojenie nawet wyczuwać się daje w dzisiejszym nastroju pruskiego rządu.

Zgon Luitpolda w każdym razie może spowodować dość znaczną zmianę w stosunkach obu państw sprzymierzonych, choć bynajmniej nie zaprzyjaźnionych.

Walenty Zieliński.



Trumna ze zwłokami ś. p. arcybiskupa Popiela, na katafalku w katedrze św. Jana.

*) Sfałszowana depesza, którą Bismarck świadomie wysłał do Paryża w r. 1870, w celu sprowokowania Francji i pchnięcia jej do wojny.

Czas odnowić prenumeratę za kwart. I—r. 1913.

Polecamy uwadze odezwę o przekazach na str. 16.



Ks. biskup Kazimierz Ruszkiewicz, wybrany jednogłośnie przez kapitułę na administratora archidjecezji warszawskiej.



Eksportacja zwłok arcybisk. Popiela z pałacu na Miodowej do kościoła św. Jana.

Pogrzeb arcybiskupa Popiela.*)

Przy napływie nieprzeliczonych tłumów odbyła się eksportacja zwłok śp. arcybiskupa Popiela z pałacu na Miodowej do katedry św. Jana.

Delegacje od cechów, stowarzyszeń, instytucji i włościan rozciągnęły się od pałacu arcybiskupiego przez plac Teatralny i Krak.-Przedm. aż do katedry.

Honorowe warty obywatelskie tworzyły łańcuch i utrzymywały porządek. Przed trumną postępowało — z górą pół tysiąca księży a najbliżej, parami, szło siedmiu biskupów i jeden infułat, za nimi—metropolita mohylowski ks. arcybiskup Kluczyński.

W katedrze złożono trumnę na wspaniałym katafalku, obitym pluszowem suknem. Trumna tonęła w morzu światła i zieleni.

Następnego dnia od 7 rano rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe. Odprawiono kilkadziesiąt mszy przy wszystkich ołtarzach oraz 3 pontyfikalne.

Po dłuższej egzorcie ks. biskupa Zdzitowieckiego, ciało arcypasterza złożono na wieczny spoczynek w podziemiach kościoła metropolitalnego.



Otwarcie w salach redutowych wielkiego kiermaszu na rzecz Tow. opieki nad dziećmi. Komitet i zaproszeni goście — na chwilę przed przecięciem taśmy.



Wystawa lalek. Stara Warszawa podług obrazu Norblina. (Eksponat ten otrzymał największą ilość głosów).

Miecz i dyplomacja.

Z południowo - zachodniego krańca Europy, z pola krwawych walk nad Maricą i Ergeną, uwaga świata całego przeniosła się na kraniec północno - wschodni, do olbrzymiego, wspaniałego i, jak obecnie, w gęstą mgłę otulonego Londynu. Tam toczą się rokowania pokojowe pomiędzy przedstawicielami zwycięskich państw bałkańskich z

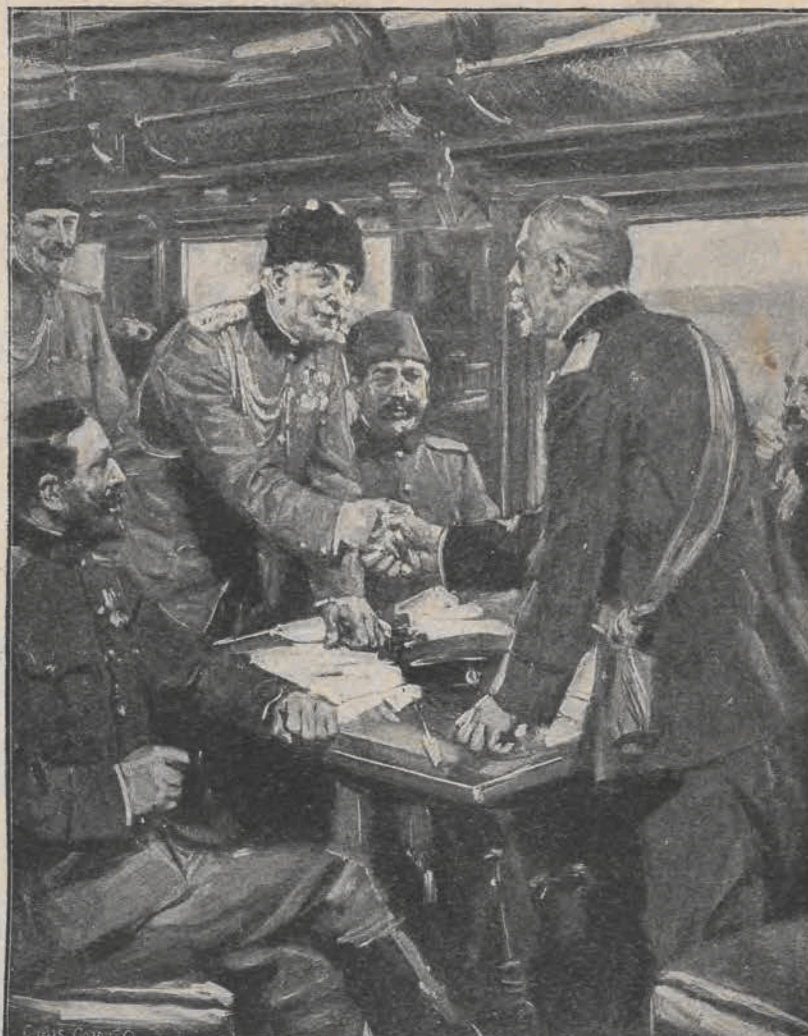
*) Dłuższy artyk. poświęciliśmy zgasłemu arcybiskup. w poprzednim № 52. (*Przyp. red.*)

jednej strony, a świeckimi dyplomatami z drugiej. Tam równocześnie odbywają się narady ambasadorów wielkich mocarstw nad kwestjami spornemi, jakie wyłoniły się ze zmiany stanu rzeczy na Bałkanach.

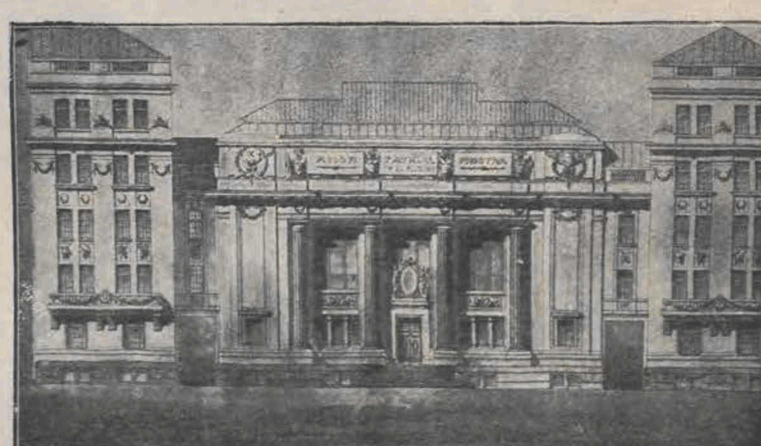
Kwestja, w obliczu której znaleźli się ambasadorowie mocarstw, — to jedna z największych kwestji, najpoważniejszych, jakie w ciągu długich lat nasuwały się do rozstrzygnięcia. Narady toczące się obecnie w Berlinie, ważniejszą sprawę poruszają, niż ta którą prawie sto lat temu rozważano w Wiedniu, na epokowym kongresie, lub ta którą w r. 1878-ym omawiano w Berlinie.

Na kongresie Wiedeńskim najważniejszą kwestją było ostateczne zlikwidowanie bytu niezależnego państwa słowiańskiego, bo ten byt przeszkadzał nietylko rozwojowi, ale wręcz podstawowym warunkom istnienia Niemiec. Kongres Berliński głównie miał na celu niedopuszczenie wytworzenia się wielkiej potęgi słowiańskiej na całym obszarze Europy wschodniej aż po Bosfor i cieśninę Dardanelską. Potęga taka położyłaby tamę nie do przebycia dla odwiecznego a coraz silniej występującego: niemieckiego „naporu na wschód“. Dwaj najwięksi politycy niemieccy, Meternich w pierwszej, a Bismarck w drugiej połowie zeszłego wieku całą siłą umysłu swego i środków pracowali, aby nie dopuścić do wytworzenia się tej potęgi.

Żywiołowe siły słowian bałkańskich znów tę potęgę ze snu zbudziły. Ośmnaście miljonów słowian południowych zrywa się do bytu niezależnego. Samych serbów, wraz z chorwatami i słoweńcami jest dwanaście miljonów, ale dwie trzecie z nich podlegają uciskowi niemców lub węgrów,—uciskowi zawsze mającemu na celu niedopuszczenie do utworzenia się na południowym wschodzie Europy państwa słowiańskiego.



Zawieszenie broni. Gen. Nazim-pasza, głównodow. wojskami tureckiemi i gen. Sawoff, delegat bułgarski, podają sobie dłonie na znak dojścia do porozumienia w kwestji zawieszenia broni



Frontowa fasada bibljoteki Krasińskich. Z powodu założenia kamienia węgielnego pod budowę, kosztem Edwarda hr. Krasińskiego, nowego wspaniałego gmachu bibljoteki.

Kronika sportowa.

Poświęcenie tatersalu.

Zanim wprowadzimy specjalny dział sportowy lub nawet dodatki, gdzie obszerniej zamierzamy omawiać wszystko co tylko ma związek ze sportem lub turystyką, musimy już teraz choć w krótkiej wzmiance wspomnieć o otwarciu nowego tatersalu przy ul. Litewskiej Nr. 3. Właściciele pp. Konopnicki i Cybulski z prawdziwą znajomością rzeczy wzięli się do dzieła, to też nowy tatersal jest ostatniem słowem tego, co sport i dobry gust wymaga. Wspaniały maneż i z komfortem urządzone salony dla pań i panów znajdują się na parterze a w suterenach obszerna, wygodna, hygjeniczna stajnia na sto koni. Poświęcenia nowego gmachu dokonał ks. prałat Rembieliński w obecności zaproszonych osób i właścicieli.

Dalszy ciąg chwili bieżącej znajdzie Czytelnik w Nr. 54-ym, który wyjdzie za dwa dni, jeszcze przed świętami.



POŻAR.

Szerokoskrzydła noc grudniowa otuliła miasto wielkie, najeżone kominami dymiącymi. Atramentowo-czarne sklepienie niebios, zasnute chmurami, mgłą i grubą warstwą gęstego dymu zwisło ciężką zmorą nad domami i jakgdyby wgniotło je swym ciężarem w ziemię. W długich szeregach okien zapanowały ciemności. Miasto śpi — miasto spokojnych filistrów, miasto urzędników — automatów, kantorzystów, miasto bankierów, giełdziarzy i rentjerów.

Nie śpi tylko miasto robotników. Wielopiętrowe gmachy fabryczne wyszczerzyły światłem jaskrawem swe mnogie okna, jak potwory wielookie, wpatrzone w przestrzeń ciemną, w czarne masy budynków. Tam wewnątrz wre piekło pracy. Tam czuwają ci „szczęśliwi“, którzy nie potrzebują jeszcze przesypiać głodu, którzy mogą zajmować swoje miejsce przy magazynach i warsztatach; którym nie skrócono jeszcze godzin, nie zmniejszono dni pracy. Olbrzymi gmach drży w posadach od łoskotu maszyn, pulsuje, oddycha parą i dymem. Nieskończone pasma nici drgają w wartkim pędzie. Fabryka pracuje całą siłą pary na wszystkich warsztatach. Tysiące wrzecion furkocze z zawrotną szybkością, setki rąk regulują bieg pracy mechanicznej, ledwie mogąc nadążyć szalonemu ruchowi.

Ten zgiełk piekielny biegnie na zewnątrz cichym szmerem, nie zakłóca snu długich szeregów ulic i domów.

Naraz czarne sklepienie niebios zapaliło się światłem jaskrawem, zadrżało ruchem trwożnym. Ciszę nocną rozdarł przenikliwy nizki ton syreny. Za nim drugi trzeci i szereg innych. Zadrżała ziemia od tego ryku, szerzącego grozę... Pali się fabryka — ta, która dotąd nie skróciła godzin i dni pracy, nie oddaliła ani jednego robotnika. W jakimś oddziale, przepełnionym towarami gotowymi i materjałem surowym, powstał, ogień, w mgnieniu oka ogarnął całe olbrzymie skrzydło, stamtąd przeniósł się na inne budynki. Cały gmach stanął w płomieniach. Próżny wysiłek, próżny ratunek dzielnych szeregowców połączonych kilku straży ogniowych! Olbrzymie nagromadzenie łatwopalnych materjałów, ciasnota, brak wody—wszystko to udaremnia niemal bohaterski ratunek dzielnych, niezmordowanych ludzi. Ogień pełznie po dachach, zieje długiemi pasmami przez okna. Gną się i łamią belki, płomienie uderzają w niebiosa; walą się ściany. Wiatr niesie całe bryły zarzewia na drewniane zabudowania sąsiednie. Palą się domki, zamieszkałe przez ludność ubogą. Rozszalały, ślepy żywioł szerzy spustoszenie bez przeszkód i żadna ludzka siła powstrzymać go nie może.

Nad zgiełkiem, wrzawą, okrzykami zgrozy, rozpaczliwem wołaniem ratunku ludzi, których nędzne mienie przywalił dach płonącej chałupy—panuje nieprzerwanie przejmujący do głębi duszy ryk syreny, ryk straszny, od którego drży mózg i serce.

Ołowiane niebo szarzeje,—snują się po niem pasma dymu ze zgliszcz wielkiej fabryki i zabudowań sąsiednich. Do domu wracają gromady robotników, już nie na zmianę, lecz na nieokreślony wypoczynek przymusowy... Idą o twarzach zczerniałych, o tępym osłupiałym wyrazie oczu. Wczoraj jeszcze „szczęśliwi“, szczęśliwsi od tych towarzyszy, którym skrócono godziny i zmniejszono ilość dni roboczych w innych fabrykach, dziś już idą pomnożyć zastępy najnieszczęśliwszych, bo pozbawionych całkowicie zarobku.

Fabryka była zaasekurowana, może ją odbuje właściciel, ale zanim to nastąpi, niezaasekurowany od braku pracy robotnik stanął nad przepaścią nędzy i niezgłębionej niedoli.

Dziś już, co noc pozostające w domu rodziny robotnicze, trwożnie patrzą w stronę, gdzie ich żywiciele pracują; zali nie zaświeci złowróżbna łuna; co noc z biciem serca nasłuchują czy się nie rozlegnie groźny ryk syreny...

Co noc nasłuchują i patrzą z trwogą i prawie niema nocy, ażeby ołowianych zwałów chmur i dymu nad Łodzią nie oświetliła groźna łuna, ażeby ciszy nocnej nie rozdarł przejmujący, straszny ryk syreny fabrycznej. A co rana po takiej nocy idą gromady o twarzach zczerniałych o stępionym osłupiałym wyrazie oczu, idą aby pomnożyć szeregi ludzi, pozbawionych pracy i chleba.

Ponad tą łuną rozlewa się coraz szerzej i wyżej łuna pożogi innej: przesilenia ekonomicznego, które sieje jeszcze większe spustoszenie niż pożary. Niepewna sytuacja polityczna i ekonomiczna wywołała niebywały oddawna zastój. Z dniem każdym ubywają warsztaty pracy dla licznych rzesz, z dniem każdym fabryki zmniejszają produkcję i ilość rąk roboczych, z dniem każdym rosną szeregi ludzi bez pracy.

Na firmamencie drży smutna, nikła gwiazda, która nie wróży rychłych narodzin dnia słonecznego dla tych rzesz niezliczonych. Kiedy się będą jarzyły światła na choinkach w mieszkaniach ciepłych i przestronnych, kiedy w salach restauracyjnych i przy stołach biesiadnych u tych, którzy nie zbankrutowali lub... zbankrutowali pomyślnie, popłyną spienione rzeki szampana,—tam w izbach z ogniskami wygasłemi zamarzać będzie woda...

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, — **Łódź, Inżynierska I.**

Im się „gwiazdka“ należy! Nie jałmużna, nie okruchy ze stołu sytych, lecz praca. Tą „gwiazdką“ powinna być zbiorowa, szeroka akcja społeczna połączonych instytucji i kierowników gospodarki, miejskiej. Ta akcja powinna corychlej dać pole do pracy zarobkowej tym licznym rzeszom głodnych.

Trzeba spieszyć szybko z tym ratunkiem, tak szybko jak spieszy straż do pożaru. Pożar nędzy szerzy się coraz bardziej, pochłania coraz liczniejsze ofiary, stał się już dzisiaj wielką klęską społeczną. Łuna, jako znamię urządzeń bytu rozlała się szeroko na widnokręgu, a straży nie widać. Łuna ta drży w powietrzu, oślepia a głosu syreny nie słychać, nie rozdziera on sennej ciszy i obojętności ogólnej. Pali się! Gdzież pomoc?!!

Zenon Pietkiewicz.

Ze świata tonów.

Łódź obecnie cieszy się istną powodzią koncertów, i to nie byle jakich, bo oto koncertował znakomity skrzypek Marteau, godny następca Joachima na stanowisku dyrektora słynnej „Hochschule“ w Berlinie.

Drugim gościem niepowszednim, również uważanym za „króla skrzypków, był p. Thibaud, współzawodnik i pono zwycięzca.

Trzecia z kolei znakomitość p. Wanda Landowska wzbudziła żywe zainteresowanie wśród wszystkich bez wyjątku sfer łódzkich. Pozatem Łódź, w sezonie bieżącym zalana jest mnóstwem mniejszych koncertów i koncercików. Przy sposobności zaznaczyć musimy ważne reformy, które nastąpiły w „Lutni“ łódzkiej. Przedewszystkiem dokonano nowych wyborów do zarządu. Na prezesa powołano d-ra Bronisława Łuczyckiego, który instytucji tej pragnie nadać głębszy podkład kulturalny i organizuje połączenie „pieśni z myślą”, t. j. oprócz koncertów — pogadanki. Nadto musimy podkreślić do pewnego stopnia zespolenie się z „Lutnią“ drugiej instytucji pokrewnej — Towarzystwa im. Chopina. Jest to objaw bardzo dodatni i pożądany.



Ta jedna przynajmniej odaliska pozostanie mu wierną...

Do niniejszego numeru dołączamy przekazy „Złotego Rogu“ i dołączymy jeszcze do paru następnych, prosząc Sz. Prenumeratorów o zatrzymanie jednego przekazu dla siebie w celu odnowienia prenumeraty i o łaskawe rozdanie pozostałych — znajomym w celu przysporzenia przyjaciół pisma.

ŁAMIGŁÓWKA.

Z 16-u sylab: Bór, re, eu, tu, as, nan. ja, tar, bór, ka, mont, rec, te, kiej, do, nie, stworzyć 6 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na doł, a końcowe z dołu do góry, dają nazwisko historycznej postaci.

Rozwiązania w ciągu 2-ch tygodni przyjmuje się li tylko w postaci rebusa, przedstawionego w dwuch częściach. Najładniej wykonana odpowiedź będzie wydrukowana. W.



Femina



KWIATY.

Czy sufrażystki angielskie przynoszą krajowi pożytek czy szkodę?

Walka angielskich kobiet o prawa polityczne, ośmieszana metodami, któremi sufrażystki dążą do celu, zmusza do zastanowienia się nad samym celem, bez względu i na prowadzące doń drogi. Kilka jednostek, pragnąc urzeczywistnić swój ideał — zły lub dobry, lecz dla nich święty — pociągnęły za sobą tłum bezmyślnych, ambitnych zwolenniczek.

O ile nie zajrzymy w głąb kwestyi, zdaje się słusznem, by osiągnęły to, o co walczą.

Wszak więcej jest w wielkiej Brytanii kobiet niż mężczyzn. — Więc czemuż większość nie miałaby wpływać na losy kraju?

Miss B. ma dom z ogrodem, odpowiedni wiek, odpowiednią kulturę umysłową, płaci podatki, i interesuje się sprawami politycznemi, społecznemi. Czemuż więc jej ogrodnik ma prawo głosu, a ona—jest tego prawa pozbawioną?

Mistress F. jest kobietą uczciwą i rozumną— czemuż jej nie wolno stanowić o losach kraju, a wolno jej mężowi — hulace? Czemu kobiety muszą sią jeno poddawać prawom, ustanowionym wyłącznie przez mężczyzn, którzy—jako tacy— nie mają ich aspiracji i potrzeb?

Przeciętna kobieta tyle wie o pierwszym lepszym kandydacie, co i przeciętny mężczyzna. Może tak samo paść ofiarą zręcznych matactw i ułudnych obietnic, jak jej brat lub mąż. Może tak samo dać się uwieść i złudzić piękną wymową.

Czyż wybory nie są pułapką na wyborców?

Gdyby kobiety miały otrzymać prawo głosu i nic po za tem, oddałoby je ono na pastwę demagogów.

Ale świadoma swoich celów sufrażystka, walczy o ideał, którego prawo głosu jest—symbolem; o nowy ideał kobiecy.

Chodzi więc nie o to, czy kobiety będą lub nie będą głosowały, lecz czy nowy ideał, którego głosowanie kobiet jest hasłem bojowem, zwycięży nad starym ideałem i czy w interesie ludzkości leży, aby stary ideał został powalony?

W gruncie rzeczy kobieta nowoczesna nie domaga się praw, których nie posiadała dotychczas. Żąda ich tylko w nowej postaci.

Nikt, na serjo, nie wątpi, że kobiety potrafią brać udział w rządzeniu sprawami świata. Czyniły to zawsze — z dobrym lub złym skutkiem; ale czyniły nieoficjalnie, potajemnie, z zachowaniem pozorów bierności. Poza „działającemi osobami" pełno jest w historji niewidzialnych cieniów kobiecych.

Kobiety przeszłości zadawalniały się władzą tajemną. Ich ambicje były subtelniejsze. Dziś kobieta pragnie ujawnić swą siłę, zamienić swą nieuchwytną potęgę — na prawa konkretne.

Liczebny procent przewyżki kobiet nad mężczyznami — zwiększył się. Przykładna żona, matka, gospodyni domu ustępuje miejsca studentce, sportswomence, buchalterce, kasjerce, pracownicy na różnych polach publicznych, która współzawodniczy na nich, z mężczyzną. Nie opiera się już na jego ramieniu, lecz stoi przy nim ramię w ramię, raczej łokieć w łokieć, w każdej chwili gotowa do walki z nim o kęs chleba.

To też głosowanie kobiet oznacza daleko więcej niż opiewają tu dane słowa. Chodzi o wszystkie prawa polityczne, nietylko o wybieranie posłów, lecz i o krzesła poselskie, lecz i o ministerjalne portfele.

Takie są dążenia. Ale czy wszystkich, czy choćby większości kobiet angielskich?

Pewna ich liczba pędzi i pociąga za sobą inne w pogoni za nowymi horyzontami.

Lecz większość kobiet zgadza się na dotychczasowy ustrój świata.

Większość kobiet angielskich, rozumie, że praw ani obyczajów nie można zmieniać z dnia na dzień, że przedewszystkiem nie można zmieniać właściwości natury, wskazującej takie a nie inne obowiązki.

Zapominamy, że ludzkość jest przeważnie normalna. Literatura i prasa podaje przeważnie normalne przejawy i dlatego tracimy z oczu prawdę. Sądzimy na podstawie faktów wyjątkowych. A tymczasem życie biegnie swoim torem.

Dobre prawodawstwo opiera się na konieczności utrzymania jaknajwiększej liczby mężczyzn i kobiet na drogach, wiodących do ogólnego dobra. Żadna zmiana w położeniu kobiety nie jest dobrą, o ile nie odpowiada potrzebom kobiecym wogóle. A ponieważ to, co nie jest dobrem dla kobiet, tem samem jest złem dla mężczyzn i dla kraju, należy więc stawić dobro ogółu ponad żądaniami grupy wyjątkowej.

Zastęp kobiet, skazanych na bezżeństwo, ze smutnej konieczności wchodzi na drogi pracy, uprawianej przez mężczyzn. Nie można jednak wydawać praw dla tej anormalnej mniejszości, bo — co tu zaprzeczać: kobieta, nie będąca ani żoną, ani matką jest anormalną, i jakkolwiek wartość jej może być wielką, naród nie składa się z takich ogniw. Jego wiązadłem nie jest ani kobieta, ani mężczyzna pojedyńczo, ale oboje razem, czyli dom — rodzina. Cokolwiek zmierza do osłabienia wiązadła do obalenia współpracownictwa kobiety z mężczyzną przy rozpalaniu ogniska domowego to jest złe i musi być zwalczane, jako niebezpieczeństwo publiczne.

Tak zapatrują się na tę sprawę rozumne i bezstronne kobiety angielskie a między innemi znana i u nas przyjaciółka Polski i Polaków publicystka, i powieściopisarka Wawrzyna Alma Tadema, córka zmarłego niedawno rozgłośnego malarza. Starają się one uspokoić społeczeństwo, przypomnieć mu tę prawdę, że kobieta i mężczyzna nie są równi sobie w niczem. Ich różność właśnie sprawia, że oboje są dla siebie wzajem niezbędni w wspólnym rozwoju. Gdzie w jednem z nich jest słabość, tam w drugim—moc, w czem jedno ślepe, w tem drugie jasnowidzące.

Tę prawdę podstawową kobiety samotne chcą burzyć.

Błędem naszych czasów jest, że za dużo tworzymy dokoła ruin i gruzów, że u stóp naszych leży zbyt wiele powalonych świątyń. A budować nowych nie umiemy. Nie jest niewolą brać na siebie dobrowolnie i spełniać chętnie

obowiązki, do których powołała kobietę natura, do której wzywa ją serce.

Być kobietą jest zarówno szczytnie, jak być mężczyzną. Żaden kraj, pragnący się wzmocnić nie może sprzyjać produkowaniu istot bezpłciowych — kobiet, dążących do zastąpienia mężczyzn w prawach i obowiązkach. Potrzebuje ono kobiet kobiecych i mężczyzn — męskich.

Zagarnięcie obcych praw i obowiązków pociąga za sobą i lekceważenie i zaniedbywanie własnych, zubożą społeczeństwo, i nie może być trwałem.

Badając dzieje świata, i pojedynczych jednostek widzimy, że wahadło ludzkich zdobyczy dąży wciąż do równowagi. Wszelkie odstępstwo od tego przyrodzonego prawa mści się na jednostkach, narodach i ludzkości.

Każde działanie rozkładowe naturalnym biegiem rzeczy doprowadza do przeciwdziałania. Nie znaczy to, abyśmy mieli stać na miejscu i z założonemi rękoma, patrzeć na bieg rzeczy—każdy z nas ma swoją rolę do odegrania w swojem środowisku, w swoim narodowym zespole, każdy przyczynia się do posuwania wahadła — do zachowania lub do obalenia równowagi.

Zdają sobie z tego sprawę kobiety angielskie. To też po za obrębem hałaśliwej grupy, której wrzaski notowane są skrzętnie przez dzienniki, stoi daleko liczniejszy zastęp kobiet, które czują się pożytecznemi obywatelkami w obecnym ustroju społecznym, i działają każda w swoim przyrodzonym zakresie, pocichu. Dlatego częściej i szybciej przenika do nas głos krzykliwych bojowniczek i anormalny objaw, bierzemy za—dążenie ogólne.

Eugenja Żmijewska:

Moda „Gwiazdkowa".

Wieczór wigilijny z całą swoją symboliczną uroczystością, gromadzi nawet rozbiegłych po świecie członków rodziny. Kto tylko może, śpieszy w dniu tym do swego gniazda, do owego biało zasłanego stołu, na którym widnieje opłatek — symbol powszedniego chleba—hasło zgody, spójni, jedności...

Płoną światła choinki, dziwna radość ożywia oblicza. Wszyscy przystroili się odświętnie, bo jest to w tradycji, że kto w wigilijny wieczór ubierze się w ładne, nowe szaty, ten cały rok takowe posiadać i nosić będzie.

Zaczynam od Babuni — owej wymarzonej — czerstwej, pogodnej, ze śnieżnymi włosami, pokrytymi białą koronką. Suknia tak zwana *reformowana* jedwabna, srebrno-popielata, suto przybrana wokoło szyi i rąk białemi koronkami, takiż żabot. Babunia wygląda prześlicznie, jak z portretu.

Pani domu, lat trzydzieści kilka — piękny, dojrzały, apetyczny owoc... o kształtach rozwiniętych, ale harmonijnie i estetycznie, proporcjonalnych. Szata bardzo *moderne*, zręczna, szykowna. Podstawa sukni czyli *fond* z *Satin Liberty*, koloru blado-zielonego *Vert Nil*, sztucznie udrapowana w ten sposób, że pięknie modeluje kształty i odkrywa stopy. Pończoszki zielone gazowe, pantofelki zielone atłasowe, lub gemzowe lakierowane. Wierzch sukni z tiulu ciemno-zielonego, lekko paciorkami haftowanego, mały, skromny dekolcik, rękawki do łokcia. Głowa pięknie uczesana w płaskie sploty, okolona złotą, wązką opaską, do której przytwierdzona symboliczna, migotliwa gwiazda brylantowa.

Starsza córeczka, lat 15. Wiosna... Maj... nieopisany urok pierwszej młodości, zaledwie z dzieciństwa wyrosłej — cudny



Świąteczne sprawunki.

kwiat w przeddzień rozkwitnięcia i szaty odpowiednie. Sukienka z leciuchnej materyjki, zwanej *marquisette*, koloru kwiatu jabłoni. Spódniczka do kostek, leciuchno nadmarszczona przy talji i połączona ze staniczkiem, wyciętym *w karo*, rękawki do łokcia, żadnych przybrań, włosy splecione w dwa olbrzymie warkocze, pończoszki gazowe, blado-różowe, czarne lakierowane pantofelki. Całość. Skończony typ naszej polskiej dzieweczki..

Młodsza córeczka, lat 8—dziecko śliczne, w aureoli złotych włosów, o śmiejących się turkusowych oczkach. Sukienka krojem angielskim z białego haftowanego muślinu, łączna z bluzkowatym staniczkiem, przepasana szeroką jedwabną szarfą, z jedwabiu *Liberty* blado-niebieskiego, pończoszki niebieskie, pantofelki żółte lakierowane.

Tak się przedstawiały 3 pokolenia po kądzieli, przy uczcie wigilijnej w domu bardzo dostatnim.

Teraz przenieśmy się do koła rodzinnego o wiele skromniejszego, o skali wydatków ograniczonej i przekonajmy się, że i tam również może być miło, ładnie i elegancko...

Babunia—przywdziała suknię domową złożoną ze spódnicy do ziemi i luźnej wygodnej *polonezy*, z połyskującego popielatego szewiotu, z koronkowem obłożeniem przy szyi i takiemiż mankietami przy długich rękawach. Pani domu ma ładnie i dobrze zrobioną suknię z materyjki *double face* (zielona z różowem) fasonem t. zw. *robette*, tworzącym jedność ze stanikiem, przybrania wykończone są z tejże materyjki po jej różowej stronie, co ślicznie wygląda, a nie powiększa kosztu, krój staniczka *kimono*, leciuchny dekolt przy szyi, rękawy do łokcia. Pani jest zgrabna i ładna i jest jej w tej sukience... prześlicznie.

Dwie córeczki, starsza i młodsza, ubrane są prawie jednakowo—biało. Starsza ma skromniutką sukienkę woalową, przybieraną materyjką szkocką, takież wstążki w puszczonych warkoczach, młodsza, sukienkę angielską, również z białego woalu, z szarfą szkocką. Obie dzieweczki tchną zdrowiem, młodością i krasą naszych polskich dzieci!..

I tak, czy to w bogatych pańskich salonach, czy w skromnych mieszkankach tych, co toczą ciężką walkę o byt, „Gwiazdka" błyszcząca w przestworzu przyświecać będzie wszystkim jednakowo... Zapatrzeni w jej tajemnicze blaski zapomnijmy choć na chwil kilka o troskach, niepewnościach—o tem wszystkiem co niepokojem wdziera się w myśli i serca...

Niechaj noc wigilijna i święta będą dniami wypoczynku, wywczasu, wytchnienia dla ciała i duszy!..

Marcèle.

MODA DZIECIĘCA.

Jeżeli przez rok cały—dzieci nasze otaczane są najtroskliwszą pieczołowitością i stanowią cel pracy i zabiegów naszych — to już w tej porze „Gwiazdkowej" — stają się bohaterami chwili, osią wokoło której obracają się myśli i starania wszystkich.



... Co też św. Mikołaj przyniesie?..

„Gwiazdka" tradycyjne drzewko — owa cudna choinka, tonąca w blaskach, usiana łakociami i podarkami—pociąga jakimś nieopisanym urokiem... wspomnieniami—nadzieją — bawi oczy —rozwesela serca!... I tak dzieje się wszędzie—Święta nadchodzące są Świętem rodzin—a więc Świętem—dzieci.

I w tym dziecięcym światku „Moda" pokaźne zajmuje miejsce. W Paryżu matki przesadzają się w strojeniu dzieci, a szczególniej dziewczynek. Jest to błąd zasadniczy — rozwija próżność, wpaja zamiłowanie do zbytku już od lat najmłodszych, sączy powolną truciznę w młode serca i umysły. Dziecko powinno być ubrane przedewszystkiem z hygieniczną nieposzlakowaną czystością — ładnie — zręcznie — ale nie zbytkownie nie w jedwabie, aksamity, pióra i koronki... Mówię tu oczywiście o dzieciach trochę starszych, o ich ubiorach od chwili w której wogóle ubierać się ich zaczyna, aż do oddania ich do szkół lub na pensję — bo tam obowiązują już *mundurki*, rzadko zamieniane na ubrania inne, a już— zależne od wieku, warunków osobistych, otoczenia i t. d.

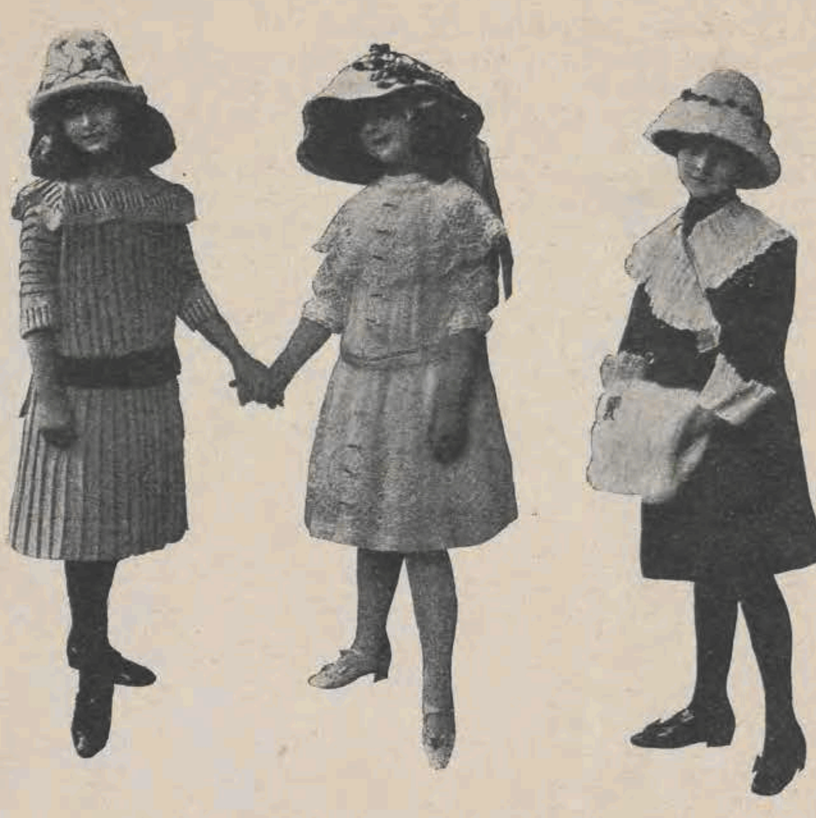
„Moda" dziecięca przechodziła rozliczne fazy ubierano dzieci, a głównie dziewczynki, stylowo— *Dyrektorjat i Empire*, były czas dłuższy pierwowzorami tych strojów. Przekonano się jednak, że strój ten przeważnie długi—prawie do ziemi — z bardzo wysoką talją, jest i krępujący swobodę ruchów i nieestetyczny — zarzucono go zupełnie, zostawiając mu miejsce jedynie jako *travesti*, czyli przebrania na dziecięce zabawy—a przyjęto ógólnie w ubieraniu dzieci styl angielski tak ładny, elegancki i *wysoce hygieniczny*. Polega on głównie na wielkiej swobodzie i na jaknajwiększym przystępie powietrza do młodocianych organizmów.

W najwspanialszych angielskich rezydencjach

wiejskich, tonących w zieleni, widzi się lordowskie dzieci z obnażonemi nóżkami aż powyżej kolan w króciusieńkich majteczkach a właściwie w trykocikach i w bluzach przepasanych. Bluzka albo płócienna, albo z surowego jedwabiu (czeczun-czy) Jest to idealny kostjum na lato na wsi.

Wielkomiejskie dziecko, oczywiście ubierać w ten sposób można tylko w *domu*, — na ulicę, na spacer, trzeba to zmienić, dając dziecku skórzane pantofelki i skarpeteczki—trykociki dłuższe zakrywające kolana i sukienkę do kolan, fałdowaną z odpowiednim staniczkiem w karo wyciętym—i króciutkimi rękawkami. Na to krótka sukienna pelerynka na chłodniejsze wieczory—i *tualeta* gotowa!... odpowiedni noszony w sezonie kapelusik—bez żadnych przybrań. W zimie do wyjścia — zmiana dekoracji. Dziecko musi nosić całe trykoty albo grube bawełniane albo cienkie wełniane włożone na białą cienką krótką koszulkę i takież majteczki—króciutka wełniana haleczka — i suknia, zawsze tym samym angielskim fasonem—krótka fałdowana, pod szyję — z długimi rękawkami. Sukienki takie ślicznie wyglądają z materjałów szkockich—i są bardzo praktyczne bo nie plamiste. Potrzebne są koniecznie dwa płaszczyki. Jeden w rodzaju bureczki, drugi na większe zimna — pluszowy, na watonie, bo dziecko futra nosić nie powinno, z wyjątkiem małego kołnierzyka i mufeczki. Do staranniejszego ubrania pokojowego—trykoty powinny być zastąpione bardzo długiemi pończoszkami, wciągniętemi na majteczki—i muszą być tego samego co sukienka i trzewiki (albo długie) sznurowane, albo pantofelki) koloru—wtedy jest elegancko. Fason sukni pozostaje zawsze jednakowy, spódniczka łączna ze staniczkiem—najpiękniej jasna — lub przepięknie — biała, w tym ostatnim razie — pończoszki i trzewiczki czarne.

Jako okazy dziecięcej elegancji paryskiej—podaję 3 ryciny niezmiernie ładnych u b r a ń. Szczęśliwa ich posiadaczka zmienia tualetę 3 razy dziennie naśladując mamę i nabierając wprawy na przyszłość...



Moda dziecięca. Najmodniejsze sukienki dla dziewczynek.

Tualeta przedpołudniowa. Pod aksamitnym czarnym paltocikiem, ciemna szewiotowa angielskim krojem sukienka—do tego mufeczka futrzana z dużym na rogu haftowanym monogramem. Po południu sukienka plisowana z jedwabiu *Liberty* koloru *fraise*. Wieczorem tualeta z jedwabnego białego muślinu, bogato haftowana.

Marcèle.

Mundur dla kobiet pracujących.

Liczny i coraz liczniejszy zastęp kobiet, pracujących w biurach wszelakich, przybywa do swoich zajęć — w ubraniu nieodpowiedniem; do niedawna w spódnicach tak ciasnych, że poruszanie się w nich było utrudnione. Kobiety młode, zwane u nas „panienkami" mają skłonność do ubierania się jaskrawo, że nie powiemy wyzywająco, do odsłaniania rąk i szyi, do strojów, zwracających uwagę. Widocznie dzieje się tak samo w Ameryce, skoro w klubie pracujących kobiet w New Yorku podniesiono sprawę ujednostajnienia strojów urzędniczek wszelakich.

Proponowany jest taki mundur: spódnica w drobne paski czarne z białem, smoking czarny, włożony na białą bluzkę. Na ulicę żakiecik czarny, luźny i miękki kapelusz filcowy lub słomkowy, w rodzają czapeczki. Wniosek postawiony przez panią Edytę Wymmore, został przyjęty przez większość członkiń klubu, a już po dniach tylu, ile było potrzeba dla sporządzenia nowego munduru—znalazł zastosowanie w licznych biurach. Byłoby pożądanem, aby i u nas w Warszawie, które ze stowarzyszeń kobiecych, zamiast omawiać psychologję Ewy Pobratymskiej, poruszyło sprawę: jaki ubiór kobiecy jest najodpowiedniejszym do pracy. Kapelusze i fryzury wymagałyby także reformy.

Tualeta popołudniowa.

Kostjum tak zwany *tailleur habille.* Spódnica modnie draperowana z materjału *drap de*



Tualeta popołudniowa.

soie (jedwabne sukno) koloru *évêque* (biskupi). Ta draperja owija stopy przy kostkach. Olbrzymia skunksowa etola, podbita czysto białymi gronostajami. Beret z takiego jak suknia materjału, ramowany sobolami. Olbrzymi paradyz na boku.

Uniwersalna książka kucharska.*)

To co nam daje autorka p. Marja Ochorowicz Monatowa, nie jest zwykłą książką lecz prawdziwem dziełem, poświęconem sztuce kucharskiej. Objętość imponująca: około 1000 str. druku, 250 ilustracji i kilkanaście tablic kolorowych i czarnych!

A nie tylko znajdujemy tam doskonałe porady kucharskie lecz i hygjena oraz wiadomości dyjetyczne zajmują jeden z ważniejszych działów książki, i słusznie — pierwszym bowiem warunkiem zdrowia jest dobra strawa z odpowiednią jej zawartością, odpowiedniem ustosunkowaniem części pożywnych, odpowiednia dyjeta i t. p. Fizjologja odżywiania z szczególną troską traktowana jest w kiążce.

Prócz najprzeróżniejszych działów, jak np. porad towarzyskich i innych, których wprost nie sposób wyliczyć, znajdujemy tam również i rys historyczny kucharstwa poważnie po literacku opracowany.

Książka p. Monatowej, jako dzieło niezwykle pożyteczne, stanie się chyba niezbędnym poradnikiem dla każdej o dom swój dbającej gospodyni.

*) Nakładem księgarni E. Wendego i S-ki.

Japonki.

Wogóle tworzymy sobie o japonkach sąd bardzo mylny... Są one w rzeczywistości wcieleniem dobroci, słodyczy i spełnienia obowiązków. Cudnie opisał jedną z wybitniejszych kobiet japońskich znany autor francuski *Claude Farrère.*

Bohaterką jest markiza Yorisaka... Była młodą, piękną, bogatą. Stroje sprowadzała z Paryża, umeblowanie jej domu było przedziwnie stylowe z XVIII wieku i mogło być ozdobą każdego pałacu.

I właśnie w przepięknym stroju, otoczona przyjaciółmi, wybierała się na jakąś *garden party...* gdy uderzył w nią cios straszliwy... Mąż zginął na wojnie za ojczyznę i cesarza. I oto piękna Yorisaka... zruca momentalnie bogate szaty... przywdziewa grubą płócienną suknię, tradycyjne ubranie wdów japońskich, przechodzi koło zdumionych swych gości... i nie wyrzekłszy słowa, nie podniósłszy oczów opuszcza wszystkich i wszystko... Gdzież dąży piękna markiza?.. W miejscowości Kyôto znajduje się klasztor Buddyjski, schronienie specjalne dla wdów po bohaterach, poległych na polu walki. Tam właśnie cudna japonka przywdziewa habit zakonny, grzebie swą młodość i piękność i opłakuje do śmierci skon ukochanego małżonka... Jest chyba więcej niż wątpieniem... czy w Europie, znalazłaby wiele naśladowczyń.

Tualeta wizytowa.

Atłas *Liberty* koloru *rose Chine* (ciemno różowy), krój *moderne style* z bardzo długim spiczastym trenem, wymarszczonym po środku, zręcznie ułożona draperja odsłania stopę powyżej kostek. Stanik tworzy eleganckie upięcie, rękawy bardzo długie. Kapelusz bardzo duży czarny felpowy, połyskujący, z dwoma rajerami z których jeden spada na plecy, a drugi upięty jest wysoko, ukośnie z boku kapelusza. Całość bardzo oryginalna.



Tualeta wizytowa.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

GUSTAW DANIŁOWSKI.

Przechodzień.

NOWELA.

Osada nasza oraz cała okolica w promieniu kilkunastu wiorst została opuszczona przez popłoszoną policję — na parę tygodni staliśmy się wolnymi ludźmi i wówczas dopiero odczuliśmy w całej pełni, jaki ogrom słonecznego, wprost odradzającego pierwiastka tkwi w tym wyrazie.

W ciągu paru dni przemienił się radykalnie zgnębiony uprzednio tok życia, przeistoczyły się dusze mieszkańców, przeobraziła się jakby, odczarowana z władzy złej mocy, ziemia.

Pola, łąki, pastwiska, lasy rozdzwoniły się pieśniami szczęścia i boju.

Ze wszech stron rozlegały się bitewne takty walecznych marszów, a potężne słowa popularnego hymnu grzmiały tak często i donośnie, że zdawało się, że nie tylko z piersi ludzkich, ale z wnętrza ziemi wydziera się ten głos, wybucha z gęstwiny drzew, podnosi z fali wód, spływa z obłoków ciągnących po niebie.

Grały nim nietylko jasne dni—dobywał się nieraz z łona nocy, a brzmiał wówczas tak groźnie i uroczyście, że dreszcz szedł przez serce. Miało się chwilami wrażenie że coś się w mroku pali, błyska, że jeszcze chwila, a rozprują się opony ciemności i wynurzy się jaskrawy sztandar rozpostarty szeroko, tak wielki, jak wielką jest idea, której ten gorący znak i krwawe pięści stały się symbolem.

Strofami owego hymnu przywykli witać się ludzie, a to powitanie było równie święte jak — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! bo drżały żarliwą wiarą miłości, braterstwa i płomiennem pragnieniem ładu Bożego na ziemi.

Każdy czuł się lepszy w owe czasy, bliźniemu bliższy, ofiarny, mężny, podniosły w duchu. W takim nastroju zastała nas wiosna, a była wczesna, cudowna, jasna i promienna. W połowie kwietnia już rozwijało się wszystko, a w końcu—falowały bujnemi trawami łąki, zieleniły się obfitą runią pole. Dworski park, lasy i wysadzone lipami drogi szumiały gęstwiną świeżych rozpuszczonych liści, krzewiły się młodymi pędami, strzelającymi wysoko.

Ostatniego dnia tego miesiąca szykowaliśmy się do późna w noc, by godnie uczcić pierwszy dzień następnego, który miała obchodzić cała okolica w naszej osadzie.

Hoże dziewuchy krajały zapał, szyły chorągwie i plotły wieńce, parobcy wspinali się na najwyższe drzewa i stroili w proporce wyniosłe ich czuby. Gdy wszedł dzień, zdawało się że wyleciało na wyrój czerwonopióre ptactwo i trzepocze się w gałęziach. Na tle mocnej zieleni w blaskach słońca jarzyły się zapały żywym pąsowym płomieniem.

W poprzek głównej alei, niby arka, tryumfalnie zwisała się przeciągnięta girlanda, zwita z dębowych liści, z której opływały trzy szerokie purpurowe szlaki, na środkowym widniały inicjały, na bocznych zuchwałe napisy.

Jak okiem zajrzyć, miedzami, polami drogą ku tym falującym w powietrzu sygnałom ściągały się gromadki prostego ludu.

Szły poważnie, jak na odpust odświętnie przybrane i skupiały się u stóp wzgórka, który stał się od niejakiego czasu publiczną mównicą.

Gdy się zebrali, pod skrzyżowanemi chorągwiami, niby pod baldachimem, na zieloną trybunę wystąpił przygodny mówca.

— Ludzie — zaczął młodzieńczym drgającym ze wzruszenia głosem — pięknie nam wschodzi dzisiejszy dzień. Z krwi bohater-

skich mogił, z żywych ran poszarpanej tej ziemi czerwonymi bukietami zakwitły pysznie korony rodzinnych drzew... I nie myślcie że tylko to, gdybyśmy wznieśli się, jako ten pławiący w słońcu jastrząb wysoko, zobaczylibyśmy jak cały kraj gorąco rumieni się w to wasze święto.

To jest nasz dzień! śpiewajmy a głośno, by nas posłyszały stołeczne nasze miasta...

Nie mógł skończyć, bo jak huragan buchnęła pieśń z setek piersi; tłum skłębił się, uszeregował i ruszył pochodem.

Płynął z chóralnym śpiewem od wioski do wioski. Chwilami uciszał się, podnosił na rękach młodzieńca i zmuszał do głosu.

Mówca, by wystarczyć do końca wyrażał się jędrnie i krótko, stylem buntowniczych odezw.

— Precz!.. zrywały się wstrząsające okrzyki, a upojony tłum parł dalej i dalej. Ale powoli zaczęło zaciągać się chmurami pogodne dotychczas niebo, puścił się drobny siekący deszcz, zanosiło się na słotę, postanowiono więc zawrócić.

Pochód skręcał do miejsca skąd wyruszył, topniejąc stopniowo.

Pod wieczór na rozstajnych drogach, gdzie wypadało się rozchodzić — zmęczony młodzieniec jął namawiać by ktoś z ludu zabrał głos.

— No Walenty—zachęcał—albo Jasiek, albo wy Wójcik! — przecież wiem że tęgo gadacie, — no! którykolwiek niech wyjdzie i palnie od serca!

Ale zebrani oglądali się jeden na drugiego, szturchali się pod łokcie, wypychali nawzajem, nikt jednak nie decydował się wystąpić.

Tymczasem ku gromadzie zbliżał się nieznany w okolicy człowiek, w długich butach, tandetnej marynarce, w gumowym kołnierzyku, buraczkowym plastronie i rudym miejskim meloniku. Szedł wolno podpierając się wyłamanym krzywym sosnowym patykiem.

Wlókł się widać zdaleka, był bowiem przemoknięty i tak powalany błotem od stóp do głowy, że trudno było określić wiek jego i kondycję.

Gdy podszedł pod chorągwie zdjął kapelusz i otrząsając z ronda wodę rzekł ochrypłym głosem:

— Kłaniam się temu sztandarowi i cieszę się, że i tu na *manifestacyję* zebrali się ludzie, szkoda tylko że mało, ale kiedyś więcej będzie, jako iż przykazane jest: proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się.

Odchrząknął, pociągnął nosem, nałożył kapelusz i po chwili, jakby dłuższego namysłu, począł mówić krzykliwie:

— Z miasta lecę — do chałupy ojców... Jako mnie widzicie z piekła żywcem wylazłem. Wyszliśmy na ulicę, głowa przy głowie, kobiety, mężczyźni, dzieci... wszystko co żyło wyległo z fabryki... Nie robili my buntu nijakiego, szli sobie spokojnie, śpiewali tylko i to niemrawo... Aż tu ci zagrodzili drogę żołnierze.. Bracia — wołali ci co stali na przodzie, przepuśćcie swoich... A tu jak wezmą grzać salwami, sypać i sypać... Jezus Marja!.. zrobił się ścisk, gwałt... A z tyłu kawalerja pałaszami... Rany boskie... Bramy zamknięte... z trupami upadłem... Krwi tylo!.. podniósł rękę wysoko... Ubabrałem się, jak nieboskie stworzenie — za kolana, w butach mi jeszcze chlupie! Zarąbali mi w oczach chłopaka, rozdeptali na nic babę... Natratowali kupę narodu... z pod trupów ledwie wylazłem, z pod trupów podniosłem się — ludzie! i tu idę... Urwał nagle i w grobowem milczeniu tak przejmującem, że słychać było każdy szlapiący jego krok, macając jak ślepy kijem drogę, począł się oddalać, rozpływać w oparach słoty niby straszliwy upiór...

Ktoś westchnął głęboko.

Śmiertelnie pobladły mówca, patrzał długo za znikającym jak okrutne widmo przechodniem a tłum stał chwilę niemy i w ciężkiej ciszy jął się rozpełzać na strony. Rozpraszał się w mętnej mgle, wsiąkał w posępną noc, jako ponury cień, cień groźny i skrycie milczący...



JÓZEF JEDLICZ: „DRZEWA”.

Biedne są drzewa... wiecznie w miejscu stoją
I każde w ziemi bez ratunku grzęźnie —
Patrzą bezradnie w dal, tragiczne więźnie!
Harda cierpliwość jedyną ich zbroją.

Nieme, stężałe w beznadziejnej męce,
Rwą się do nieba, skrzydły zielonemi —
Ziemia im kaźnią, a wyrwane z ziemi,
Żyć nie zdołają — byty niemowlęce.

Wedle okrutnych, ciemnych praw padołu
Twardej macierzy swojej, szarej glebie
Za skarb żywota muszą oddać siebie:
Łono, co żywi, więzi je pospołu.

Stoją w bezkreśnej, niewymownej nudzie,
W płaskich obszarów przeraźnej martwocie,
Śniąc niebotycznie o ruchu, o locie,
O lazurowych niebios jasnym cudzie.

I leje na nie deszcz i wiatr zawiewa —
Czasem wichrzyca swym zimnym obuchem
W ruch je podżega, co nie jest ich ruchem —
A przeto łzawe i smutne są drzewa.

Chwilami burza, wyjąc opętańczo,
Ponura mrokiem i łyskaniem sina
Wstrząsa je wściekle i do ziemi zgina,
Iż konwulsyjnie dygocą i tańczą.

A gdy o zmierzchu zmilkną burzy gniewy,
Drzewa, zgnębione lękiem i rozpaczą,
Zwisają ciężko i żałośnie płaczą,
Wśród monotonnej, siekącej ulewy.

Do snu je tuli zimno i ulewa,
A niepamiętna ich doli sierocej
Przylega ziemię straszna zmora nocy —
Przeto struchlałe i trwożne są drzewa.

I mają dusze mdłe, z tęsknicy chore —
Wobec padołu głuszę nienawiści,
Co huczy grozą, przez szumy ich liści,
Choć ból swój w twardą osłaniają korę.

Jak Prometeje, w udręce szalonej
Trwają, spętane... Nieukojne żary
Każą im w bezkres wyciągać konary
I biadać smutno w cztery świata strony.

I każda gałąź zórz niebieskich wzywa
Całym przepychem bujnolistnej szaty —
Sny ich w barwiste wystrzelają kwiaty,
Rojąc nadchmurne rozkwity i dziwa.

A dobre niebo cieszy je jak może
I ukój niesie ich głuchej boleści —
Puchem obłoków głaska je i pieści,
Śle im różane świtania i zorze.

Czasami niebios przelitosna łaska,
Gdy któreś zbytnio chorzeje z tęsknicy,
Olśni padoły łuną łyskawicy
I ciosem gromu smutne drzewo strzaska.

A kiedy martwą koronę rozpostrze:
Łakomy człowiek przybliża się zdradnie,
Zmierzy strzaskany pień, co padł bezwładnie,
A w ręku łyska mu topora ostrze...

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

45)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Innych uczuć Przemko doznawał, metamorfozę oną w panu Włodku widząc. Cieszył się, że z palipiecy na pacholika, z pacholika na dworzanina wyrósł. Krnąbrna dusza młodzieńca miękła pod pieściwemi słowami wojewody. Nie zżymał się już, gdy ręka starego pana na jego głowie spoczęła i pogładziła włos miękki; coś ojcowskiego było w tem dotknięciu, że nieraz pragnienie uczuł do tej starej przygarnąć się piersi, samotnej piersi. Zdawało mu się nieraz, że ręka pana wojewody, tajemniczem wiedziona przeczuciem, chciała to jego pragnienie spełnić... Była chwila wahania się, walki jakiejś — poczem ta dłoń zawsze opuszczała się ku ziemi, a osmętniały wzrok biegł w jakieś dale nieznane. Przemko nie rozwiązywał zagadki — dobrze mu było tak, jak było!.. Widział, że oczy starego pana coraz częściej na jego spoczywały twarzy, że jeżeli z czembądź pan wojewoda zwrócił się ku niemu, to przemawiał zawsze głosem łagodnym, drgającym niebywałą dotąd, nutą uczucia.

Za przepierzeniem, gdzie Przemko legiwał, powolne także zachodziły zmiany: tam jakiś sprzęt zacniejszy, znajdujący się dotąd w komnacie pana wojewody, nie spodobał się panu — i usunąć go zapragnął; tu skóra niedźwiedzia, przed łożem zawsze rozciągnięta, zaczęła łaskotać pięty wojewodzińskie — i pozbyć się jej zechciał; innym razem żu-

pan z sukna drogiego zaczął pod pachami go gnieść, a na szubie zaś sobolowej wytarcie jakieś dojrzał: więc z żupana suknię, z sobola ciepłe okrycie dla Przemka uszyć rozkazał, sprzęt zaś za przepierzenie się wsunął i próżnię wypełnił, a skóra niedźwiedzia nagie okryła ściany. W ten sposób znalazło się i krzesło, pięknie rzezane i stół niewielki z ciemnego zrobiony drzewa i szafa na żupan i szubę.

Na one oznaki dobroci nie mógł obojętny być Przemko, nie mógł, choćby odrobiną serca nie odpłacić panu wojewodzie, który o to serce, w dniu łowów, upomniał się był u niego. Kącik Przemkowy przytulniejszy się stał i nabrał cechy miłego mieszkanka, Dawniej był on pachołka legowiskiem, dziś duszy swobodnej przybytkiem. To wszystko, wraz z serdeczniejszem postępowaniem wojewody, tłumaczył sobie Przemko wdzięcznością za uratowanie żywota w srogiej walce z odyńcem, którego głowa, jako trofeum, zawisła nad jego łóżkiem.

Razu pewnego zawołał go pan Włodek do siebie, na stołku u nóg swoich usiąść rozkazał i rzekł:

— A znasz ty, chłopcze, dzieje ojczyste?..

— Znam, miłościwy panie!..

— Kto cię ich nauczył?

— Ksiądz Sroka.

Wojewoda rzucił mu pytań kilka i przyznał, że dobrym profesorem był ksiądz Sroka.

Po chwili milczenia ozwał się —

— A znasz ty dzieje rodu... Włodków?

W tej materji, dość słabym Przemko się okazał...

— Nieźle byłoby i o tem coś nie coś wiedzieć, synku!.. rzekł wojewoda. — Na sławnych królach i na sławnych familjach Polska stoi. Zapewne, że nie wszystkie cnoty syn po ojcach odziedzicza; że jedni są godni wspomnienia, inni zapomnienia — ale o Włodkach... chcę... byś coś więcej wiedział, zapamiętał imiona ich wszystkich, cały splot wypadków, jakimi usiany ich żywot był, bo to wszystko w krew najdalszych pokoleń wchodzi i z tego wytwarza się miłość—dla przeszłości, obowiązek — dla przyszłości, twoje wczoraj, twoje dzisiaj i twoje—jutro!.. Rozumiesz, synku?

— Rozumiem panie — ale...

— A-le?

— Co to mnie wszystko obchodzić może?

Wojewoda drgnął lekko, mgła osłoniła twarz.

— Dla własnej satysfakcji chciałem ci mówić, o dziadach i naddziadach... moich— wyszeptał.

Umilkł, przygnieciony smutkiem jakimś.

Przemko uczuł, że tem odezwaniem się swojem ból sprawił staremu panu; że jakby milczenie mu nakazał. Taki postępek powinien był gniew wywołać, tymczasem, zamiast gniewu — smutek, stłumienie uczuć jakichś i powolne przeniesienie wzroku z twarzy chłopięcej na jego pierś.

Przemko pochylił się, dotknął usty ręki wojewody i szepnął:

— Mów, panie!..

Dłoń starego pana spoczęła na złotych włosach młodzieńca. Głosem powolnym, wyraźnym zaczął opowiadać dzieje rodu Włodków.

Krwawe to były dzieje, ale rycerskie dzieje! wstęga długa o złoto-purpurowej barwie! — Przepływały dni, miesiące, lata i wieki niby nurt rzeki wspaniałej, gnany wichrem potężnym, a każdy bryzg fali z grzmotem podnosił się i z grzmotem opadał. Mięszały się szepty modlitw ze szmerem krwi, wytoczonej ostrzem miecza; z krzykiem bojowym gwar biesiad, a nie stawała śmierć nad łożem, na którem dzisiaj zamykają oczy umarłym: szukała ofiar swoich wśród puszcz litewskich, w błotnych lasach Jadźwingów, na rubieżach stepów Rusi dalekiej — i zmagała się nie dzień, nie dwa, zanim żelazne ręce tych ludzi na krzyż złożyła a przywarła powieki. Dusze twarde a silne dłonie tam były. W miłości i nienawiści widziałeś potęgę i moc. Zatargi rodzinne, nieporozumienia sąsiedzkie, kończące się nieraz krwawym najazdem kup zbrojnych; zbrodnicze czyny nawet i wymiar doraźny źle zrozumianej sprawiedliwości—miały w sobie jakiś pęd żywiołowy, bujność pełnego życia, ogromną pogardę śmierci. Miecz o miecz szczękał, pierś opierała się o pierś. Niosący zemstę, nie czaił się w mrokach nocnych, nie przyciszał kroków, lecz dawał możność obrony, przynajmniej śmierć przytomną w boju orężnym.

(d. c. n.)

MICHAŁ CZAJKOWSKI — SADYK-PASZA.

6)

ZARAZA.

Tak było, i Skupsztyna zaczęła mruczeć i dąsać się na ustawę i na Kniazia Hospodara, byłoby może przyszło i do czego złego, gdyby nie Madziary, te wrogi rodzone słowiańskiego plemienia nie byli się porwali, niby na szwabów a w rzeczy samej na słowian — byliby serbowie zapleśnieli w ustawie i zapomnianoby o nich w słowiańszczyźnie, o nich stojących na górze i niktby do nich nie poszedł.

Ale z wojewodziny serbskiej, bracia serbowie wołali na ratunek. Szwabski cesarz dał broń, proch, kule i mundury, haracz i żołd — obiecał soli — poszło nas dziesięć tysięcy, raz, drugi i trzeci, za obiecaną sól daliśmy dobrego pieprzu madziarom, na którym nam niezbywało.

Ja byłem przy wojewodzie Kniczaninie, sławnym junaku, dawnym Miłoszowym momaku. Tłukliśmy Madziarów i Polaków i Słowaków na zgniłe jabłko. A te huzary Perczela, wyzywające na szable Świętych Pańskich i samego Pana Boga, jak zające pierzchali przed jataganem momaków Szumadji [38]. Nie było czasu naszczekiwać: Basam terem terem, Basa mazanie [39], kiedy serb zaklął w Ojca po swojemu i szedł na udry. Ale wiele złego to madziarstwo narobiło w Wojewodzinie, gorzały sioła, gorzały grody, zbezczeszczone niewiasty, jak dzikie zwierzęta kryły się po bagnach z dziećmi, starce z głodu umierali po stepach, po drogach, a ludzie siły i zdrowego ducha, garnęli się w nasze szeregi, wołając zemsty — zemsty. Takie to były pocałunki madziarów, dawane słowianom na pobratanie się pod godłem świętego Stefana. Godło Świętego Pańskiego, godło Bożej litości i miłosierdzia, obnosił po kraju poganin Perczel, z buzdyganem w dłoni, miażdżąc lud Boży na sałhan, a w miejsce krzyżów stawiając szubienice, wołał:

— Madziar jestem, w imię Arpada niszczę słowiańskie plemię i póki nie wyniszczę, nie dotknę ustami bursztynowego tokaju, nie wychylę puharu — niech żyje Eglen Madziary. I tak robił poganin Perczel.

Madziarowie zaczęli djabli taniec, naszemu wojewodzie trzeba było klin klinem wybijać, ucho za ucho, ząb za ząb, głowa za głowę — dawaliśmy i my ducha madziarom.

Jednego dnia zawołał mnie Kniczanin wojewoda, siedział pod gruszą, zasępiwszy lice, brwią i zawiesistym wąsem, wyciągnął z pochwy jatagan i jak wskazówkę obrócił go ku górom.

— Synu, widzisz tę białą zorzę pod górami, to zamek madziarski, a w tym zamku dzisiejszej nocy będą tańcowali czardasza [40]. Jeden z namiestników Parczela zaślubia madziarkę, hrabiankę, właścicielkę tego zamku. Turczański to obyczaj, w wigilję śmierci użyć życia, Turczyn kiedy jedzie na wojnę to się żeni [41]. Madziar wojuje i ślubuje, jedna krew, jedna kość, jedno i toż samo plemię. Weźmiesz szumadijców konnych i cygańską hołotę, pięćset jeźdźców. Zatańczysz im czardasza po naszemu, ale tak, żeby stamtąd ani jedna żywa madziarska dusza nie uszła, żeby już czardasza nie tańcowała, tokaju nie piła, żeby się już nad Racami (słowianami) nie pastwiła. Ani jedna żywa dusza — słyszysz synu.

Dobrze słyszałem, kiedy Bóg tak przeznaczył, to się tak stać musi.

(d. c. n.)

---

38) W czasie powstania Madziarów w 1848 r. trzy razy Serbowie księstwa lennego sułtanowi, za jego zezwoleniem, korpusem dziesięciotysięcznym ochotników, pod wodzą wojewody Kniczanina chodzili na pomoc Cesarzowi Austrjackiemu i trzy razy byli stamtąd odwoływani na żądanie rządu serbskiego zanoszone do Porty otomańskiej. W ten sposób zaopatrzyli się w dobrą broń i amunicję na trzydzieści tysięcy wojska, odzieli się i niemało grosza zdobyli. Obiecaną sól w nagrodę, samowolnie skonfiskowali na Dunaju i zabrali, żeby uniknąć niepotrzebnych zatargów i rachunków ze Szwabami. Była to robota dwuch mężów stanu Serbji, Abrahama Petrowicza i Ilji Garaszanina. Stąd urosło przysłowie: Serbowie oszwabili Szwabów.

39) Po wojnie 1848 r. kursowały po krajach słowiańskich obrazy, roznoszone przez Słowaków. Na jednym: huzar z wydobytą szablą, wyzywający klątwami madziarskiemi: Basam terem tetem i Basa mazanie, Pana Boga by zsunął z nieba na ziemię i popróbował się z nim w szable — zwracał konia, ujrzawszy wyzierającą z za skały spisę dońskiego kozaka. Na drugim: huzar zmykał całym pędem konia, zgubił kołpak, taszkę i szablę a wołającemu nań ludowi—wyzywałeś na szable Pana Boga a zmykasz przed kozakiem — odpowiedział: Basa mazanie, a kozak, to basam terem tetem nie Pan Bas — te obrazy charakterystyczne bawiły tureckich słowian.

40) Czardasz—taniec madziarski, skoczny i bogaty w pantominy, przypomina on trochę krakowiaka, trochę hulaszczego kozaka, a najwięcej pantominami, azjacki taniec Zejbeków.

41) Prawowierny muzułmanin ma sobie za zasługę przed Prorokiem, jeśli wyjeżdżając na wojnę, żeni się, bierze w ten sposób trzecią i czwartą żonę, a po wojnie najczęściej rozwodzi się z nią i puszcza na swobodę; ten zwyczaj jest cenionym, jako sposób mnożenia ludności muzułmańskiej dla zastąpienia tej, która ginie na wojnie. Większa zasługa jeszcze jest tym, który w takim wypadku żeni się nie z muzułmanką. Serdar Ekrem Omer Pasza, praktykował tę powinność bardzo skrupulatnie, żenił się wszędzie, nawet w czasie wojny w Krymie i w Gruzji a potem puszczał te żony na swobodę, albo rozdawał je swoim adjutantom lub przybocznej służbie a często oficerom armji, z dobrymi posagami. Liczył sobie takich żon 99—potrzebował jeszcze dwuch, żeby pójść wprost do siódmego nieba między Huryski.



KNUT HAMSUN.

Wieczór wigilijny.

(Z norweskiego).

Ze śniegowego puchu wyglądał jeno dach i górne piętro. Zresztą była to zaledwie chata, a właściwie niewielka zagroda, w której znajdowała się krowa, owca i jagnię.

Zimą i latem mieszkała tam chłopska rodzina, utrzymując się z pracy rąk własnych. Mąż zwał się Tor, a żona Kirsti; mieli pięcioro dzieci. Córka, Kaldeja, służyła w dole na plebanji, a najstarszy syn Tomasz wyemigrował do Ameryki. W domu zostało troje dzieci: dwuch chłopców i jedna dziewczynka. Rynald, Dydryk i Tomelena. Lecz Tomelenę nazywano zdrobniale, Leną.

Ponieważ tego roku, przed samem Bożem Narodzeniem, śnieg zasypał ścieżki, więc stary Tor przez cały dzień rozkopywał śnieg, wskutek tego był ogromnie zmęczony. Zdążył już przeczytać wszystkie modlitwy przepisane na wieczór wigilijny i położył się na łóżku z fajką w zębach. Żona gotowała kolację i co chwila poprawiała ogień pogrzebaczem.

— Czy siano włożono już do żłobów? — spytał Tor.

— O, tak!

I oto Tor począł znów palić. Zaczem powiedział, śmiejąc się dobrodusznie:

— Moja droga, cóż ty tam gotujesz i smażysz, tak zawzięcie, przez cały wieczór? Zupełnie nie mogę pojąć, skądżeś to wszystko wzięła?

— O, ja jestem o wiele bogatsza, niż wy myślicie, o tak! — odpowiedziała Kirsti i nawet sama roześmiała się ze swego żartu.

Do kolacji konieczna była wódka, według starego zwyczaju i Rynald miał ją rozlewać do szklanek. Była to dla niego uroczysta chwila. Musiał przytrzymywać słabemi rączętami ciężką karafkę.

I wszyscy spoglądali nań z powagą.

— Trzymaj karafkę w lewej ręce, gdy nalewasz starszym, — powiedział ojciec. — Jesteś już dość duży, aby wiedzieć jak należy postępować.

I Rynald ujął karafkę lewą ręką. Jak on ostrożnie nalewał! Język wysunął, głowę przechylił na bok i nalewał.

Jedzenia było aż zadużo; był tam chleb okrągły i syrop, a każdy otrzymał nawet po jednem jajku.

Tor głośno przeczytał protestancką modlitwę przed jedzeniem.

Ale po kolacji, mały Dydryk omylił się co do dnia i podziękował ojcu i matce, uścisnąwszy im dłonie. A ojciec rzekł:

— Nie należy dzisiaj dziękować za obiad, Dydryku. Niema w tem nic złego, ale ty wiesz przecież, że to tylko w wigilję Nowego Roku dziękuje się.

Dydryk zawstydził się, skurczył, gotów do płaczu, gdyż bracia i siostry poczęli się z niego śmiać.

Znowu Tor położył się na łóżku, z fajką w zębach, a żona zajęła się myciem talerzy.

— Tak, jesteśmy zasypani śniegiem — zauważyła.

— I wciąż pada i pada... — odpowiedział Tor. — Księżyc jest opasany kręgiem i sroki latają tuż nad ziemią.

— Więc jutro nie będzie można iść do kościoła?

— Hm, niech cię Bóg ma w swej opiece. Zapewne nie zaglądałaś jeszcze do kalendarza, jeżeli masz zamiar pójść do kościoła?

— A jakiż tam znak?

— Nie większy od beznogiego cielęcia. Aż złość bierze, gdy o tem pomyślę!

— No, cóżeś tam wymyślił? — zawołała Kirsti.

— Przynieś okulary, Rynaldzie a nie upuść ich na podłogę! — ciągnął Tor. I poraz wtóry począł badać złowróżbny znak w kalendarzu.

— Spójrz tutaj — rzekł do żony. — Bynajmniej nie przesadzam.

— Jezu, zmiłuj się nad nami — powiedziała Kirsti, złożywszy pobożnie dłonie. — To oznacza zamieć, prawda?

— Tak, oznacza zamieć. Ale to nic strasznego. Jeżeli chcesz zobaczyć znak, tego samego rodzaju, to spójrz pod datę piątego lutego. Znajduje się tam antychryst z rogami.

— Jezu Chryste! Zmiłuj się nad nami i nad Tomaszem, który jest teraz w Ameryce.

Po tym wykrzykniku w małej izdebce zapanowała cisza. Na dworze szalała wichura. Dzieci gwarzyły między sobą. Kot przechodził co chwila, od jednego do drugiego i tarł się o kolana.

— Naprawdę, nie mogę sobie wyobrazić, co jada król w wigilijny wieczór? — spytał Dydryk.

— Ho! ho! Słodkie pierożki na maśle — odrzekła malutka Lena, która miała dopiero ośm lat i nie mogła się poszczycić zbyt rozległemi wiadomościami.

— Pomyśleć tylko: słodkie pierożki! I masła, ile zechce! — dziwił się Dydryk. — I król, bezwątpienia, wypija całą karafkę wódki! — Ale Rynald, który był najstarszy i już oddawna chodził do szkoły, wybuchnął śmiechem.

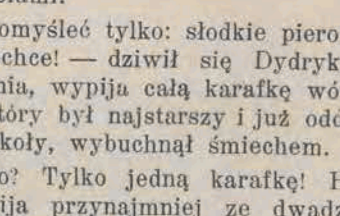
— Co? Tylko jedną karafkę! Ha! ha! ha! Król wypija przynajmniej ze dwadzieścia karafek, tak!!

— Ile? Dwadzieścia!

— O, tak, w najgorszym wypadku!

— Oszalałeś, Rynaldzie! — powiedziała matka, plecami wsparłszy się o piec. — Onby nie zdołał wypić nawet dwuch.

(dok. nast.)



HERMAN SUDERMAN.

Weseli ludzie.

(Z niemieckiego).

Stojąca w kącie choinka pochyliła się widocznie ku przodowi, gdyż ze strony, graniczącej ze ścianą, a tem samem mającej dostęp utrudniony, była mniej bogato udekorowaną i zaledwie utrzymywała równowagę.

Ojciec zauważył to i rozzłościł się.

— Cóżby na to powiedziała mama, gdyby to widziała? Wiesz przecież, Brygido, że mama nie lubi takiego niedbalstwa. Wszak musielibyśmy się wstydzić, gdyby choinka się przewróciła.

Brygida zaczerwieniła się, jak rak, wdrapała się po drabince pokojowej i rękoma daleko przed siebie wysuniętemi, przewieszała wszystko, co tylko się dało na stronę odwróconą do ściany, którą przedtem rzeczywiście nieco po macoszemu potraktowała.

I wtedy wreszcie można było zapalić stoczki.

— A teraz przejrzyjmy prezenty, — powiedział ojciec — który talerz jest mamy?

Brygida wskazała.

Tym razem ojciec był zadowolony.

— Dobrze, żeś tak dużo nałożyła marcepanów,—powiedział—gdyż ona musi mieć zawsze coś do darowania — i wypróbował małą kłódeczkę, która leżała obok i pieszczotliwie przeszedł palcami po twardych liściach palmy, ocieniającej miejsce, przeznaczone na podarunki mamy.

— Czy wazon do kwiatów tyś malowała? — zapytał.

Brygida kiwnęła głową.

— Tak, jest on wyłącznie do róż, — rzekła — wzór jest wypalany i wytrzymały na niepogodę.

— A co chłopcy jej zrobili — powiedział ojciec — to mogą jej sami zanieść. A mamy prezenty położyłaś również?

Rozumie się, że położyła. Dla Fryderyka sieci i uniwersalny nóż, dla Artura zaś stolik heblarski z podnóżkiem i żelazem do zmieniania, a oprócz tego okręt hanzeatycki o wysokich brzegach ze złotowłosą syreną.

— Syrena zrobi efekt, — powiedział ojciec i zaśmiał się.

Brygida miała jeszcze coś na sercu. Włożyła małe, mocne, spracowane ręce pod gorsecik fartucha, który fałdował się nieco na płaskiej piersi i kołysała się na obcasach.

— Teraz chcę ci coś zdradzić, — powiedziała — tobie ona też coś ma do podarowania?

Teraz ojciec zdumiał się.

— Co? co? — pytał, oglądając miejsca przeznaczone na podarunki dla niego, ale tam, oprócz ręcznej roboty Brygidy, o której już mówili, nie znalazł nic godnego uwagi.

Brygida szybko pobiegła do przeciwległego kąta pokoju i z pod fortepianu wyciągnęła wysokie na dwie stopy, owinięte w papier pudełko, które, pomimo swojej wielkości, było nadzwyczaj lekkie.

A kiedy papier odwinęła, ukazała się drewniana klatka z wielkim pstrym ptakiem, którego pióra mieniły się, jak błękit nieba i złociste słońce.

— Klatka! — krzyknął ojciec, klasnąwszy w dłonie, a na jego ustach przemknął uśmiech radości. — Taki rzadki ptak! I ona mi go daruje?

— Tak, — powiedziała Brygida. — Pięknego jesiennego ranka wpadł on w sidła na drozdy. Magazynier przez długi czas go przechowywał. Daruje ci go ona, bo to bardzo ładny rodzaj, że tak powiem rajskiego ptaka.'

Ojciec pogłaskał jej jasną główkę, a ona znów się zarumieniła aż po korzonki włosów.

— Tak, teraz zawołamy chłopców — powiedział.

— Niech chociaż zdejmę fartuch, — zawołała, odpięła szpilki i rzuciła tę czarną, brzydką część ubrania pod fortepian, gdzie poprzednio stała klatka z ptakiem.

I oto stanęła w białej, niebiesko przybranej sukni, którą miała podczas konfirmacji i zrobiła uprzejmą minkę.

— Słusznie, — rzekł ojciec — mama nie lubi ciemnych kolorów... Wszystko musi być jasne i wesołe dokoła.

A wtedy weszli chłopcy.

W obu rękach trzymali trwożliwie laurki z życzeniami wigilijnemi.

— Śmiało, śmiało! — rzekł ojciec. — Czy myślicie, że wam się dzisiaj głowy poobrywa?

I popchnął ich nieco, laurka Artura nawet trochę się zgniotła.

Było to, rozumie się, nieszczęście, ale cieszyło go, że to wina ojca i on bierze ją na siebie.

Pan Brüggemann, długi nauczyciel chłopców, zjawił się również.

Miał na sobie uroczysty surdut kaznodziejski, kiwał głową, jak na pogrzebie i w końcu, pociągając nosem, potrzykroć wyrzekł: Tak, tak... Tak, tak... Tak, tak.

— Czegóż pan wzdychasz tak rozpaczliwie, jak stara wierzba płacząca? — Z uśmiechem zapytał ojciec. — Myśmy, weseli ludzie! Co, Brygido?

— Rozumie się, — również śmiejąc się, odparła Brygida — a tutaj, panie kandydacie, jest podarunek dla pana.

I zaprowadziła go do miejsca, gdzie, pomiędzy piernikami, jakby zawstydzona, wyzierała portmonetka z cielęcej skóry.

— To panu ofiaruje mama — ciągnęła i podała czarną, płaską książkę z grubemi złotemi literami — są to „Trzy drogi do spokoju", które pan zawsze tak lubił.

Kandydat powstrzymał łzę wzruszenia, ale natychmiast wyciągnął rękę do małej portmonetki. Była to czwarta droga do spokoju, gdyż dokuczały mu stare długi, zaciągnięte w handelku.

W końcu weszła służba domowa z panią Pönsgen, gospodynią na czele, która w krzywych, olbrzymich rękach miała porcelanową doniczkę alpejskich fiołków.

— To dla mamusi, — rzekła do Brygidy, która, odebrawszy z rąk jej doniczkę, prowa-

dziła ją do jej talerza. Było tam wiele dobrych rzeczy, a między innemi szydełkowy ciemy kaftanik, jakiego gospodyni życzyła już sobie oddawna, gdyż w kuchni przez szpary w oknach był bezustanny przeciąg.

Pani Pönsgen obejrzała go tak prędko, jak pan Brüggemann swoją portmonetkę. I kiedy Brygida powiedziała: „Rozumie się, że to od mamy", nie zdziwiła się bynajmniej. Ze swojej piętnastoletniej służby wiedziała, że najlepsze pochodziło zawsze od mamy.

Tymczasem chłopcy chcieli pozbyć się kłopotu, który im leżał na sercu i wyrecytować swoje wiersze.

Ojciec, zajęty ludźmi, nie zwracał z początku na nich uwagi, ale potem spostrzegł się i z uśmiechem odebrał od nich laurki.

Fryderyk przybrał odpowiednią postawę, ojciec zrobił to samo, ale gdy przeczytał napis u góry: „Kochanym Rodzicom na gwiazdkę", namyślił się i rzekł:

— Zostawimy to lepiej na później, kiedy będziemy u mamy.

Więc chłopcy poszli do talerzy, na których leżały ich podarki gwiazdkowe. A ponieważ radość ich kryła się jeszcze w błogiem odrętwieniu, zbliżył się do nich ojciec i powiedział:

— Rozweselcie się łobuziaki... Cóżby sobie pomyślała mama, gdybyście nie byli weseli?

Wtedy pękły lody. Fryderyk zawiesił swoją sieć na haczykach, a kiedy Artur odkrył na swoim okręcie łódki okrętowe, wtedy uczucie nieograniczonego bogactwa wylało się w okrzykach głośnej radości.

Ale zawsze tak bywa. Zaledwie przeniknęli wszystkie wspaniałości swoich zabawek, wyciągnęli pożądliwie ręce po to, co do nich nie należało.

Artur odkrył maleńką kłódeczkę, która leżała między ich podarkami i maminymi. A więc nie wiedział napewno do kogo należała. Był wprawdzie nieomal pewny, że to nie jego, ale z drugiej strony: coby mama poczęła z taką kłódką?

O! nie darmo ma się w duszy powołanie do mechaniki!

Jako drugi ekspert zjawił się Fryderyk. Utrzymywał on, że jest to sekretny zamek. Ale to było oczywistym nonsensem! Ale Fryderyk tak umie czasami na wiatr mówić.

Bądź co bądź, kłódka była najpiękniejszym ze wszystkich podarków. A kiedy kluczyk się zatrzaskiwał, słychać było lekki, jakby oddalający się ton, który jak harfa, odzywał się w stalowem ciele.

Trzask! Trzask!

Ale na ten odgłos nadszedł ojciec i położył koniec zabawie.

— Co wam wpadło do głowy, łobuziaki? — złościł się żartobliwie. — Zamiast podarować coś na gwiazdkę biednej mamie, wy jeszcze zabieracie jej tę trochę prezentów, które ona dostała.

Chłopcy byli obaj bardzo zawstydzeni. A Artur z zakłopotaniem powiedział: i oni mają coś dla mamy, rozumie się, że mają, ale pozostawili to w korytarzu. Jak będą szli do mamy, to zabiorą swoje podarunki ze sobą.

— Wnieście je tutaj, — rzekł ojciec — żeby przeznaczone dla niej miejsce nie wyglądało tak skromnie.

Chłopcy wyskoczyli z pokoju i spiesznie powrócili z prezentami.

Fryderyk wyciął laubzegą talerz pod doniczkę, składający się z sześciu części bardzo misternie złożonych. Ale jego prezent niknął w porównaniu z ażurowym lufcikiem Artura, starannie plecionym z końskiego włosa.

Ojciec cieszył się bardzo.

— No, teraz to już napewno możemy stanąć przed nią, — powiedział. Potem objaśnił im mechanizm kłódeczki i powiedział, że służyć będzie do tego, by strzedz kwiatów kochanej mamy, gdyż już niejednokrotnie ginęły ulubione przez nią róże, co stać się mogło tylko dzięki podrobionemu kluczowi.

— Tak, nareszcie pójdziemy do niej, — zakończył. — Ona oddawna już nas oczekuje. Ale musimy wszyscy być bardzo weseli! Gdyż wesołość — to główna rzecz, powiada mama... Brygido, przynieś klucze od kraty i kaplicy.

. . . .

I Brygida przyniosła klucze od kraty i od kaplicy.

AFORYZMY WSCHODU.

(Z chińskiego).

Szczęście jest, jak porcelana,
łomkie i nietrwałe,
czy u jungi, czy u chana
szczęście jest, jak porcelana...
Cacko, któreś kupił zrana,
wieczór w kruchach całe —
szczęście jest, jak porcelana,
łomkie i nietrwałe.

II.

Pomyśl w lewo, pomyśl w prawo
i pomyśl pośrodku,
a do celu dojdziesz żwawo,
pomyśl w lewo, pomyśl w prawo...
Tak pokieruj całą sprawą,
jak nićmi na motku —
pomyśl w lewo, pomyśl w prawo
i pomyśl w pośrodku.

III.

Nadzieja dobra na śniadanie,
lecz kiepska na wieczerzę,
apetyt ostrzy jej podanie,
więc dobra, ale na śniadanie...
Gdy ją zbyt późno kto dostanie,
by syt był, nie uwierzę —
nadzieja dobra na śniadanie,
lecz kiepska na wieczerzę.

Remigjusz Kwiatkowski.

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

NIECO O CHIRURGJI POLOWEJ.

Ilekroć czytamy w pismach o okropnościach wojny, o owych tysiącach rannych, leżących w mękach cierpień, bólów i rozpaczy godzinami na polu, w rowie czy błocie, w kałużach krwi, wśród rozdzierających serce jęków, ludzi i zwierząt na spiekocie słonecznej, czy pod ulewnym deszczem i wichrem, z ziejącemi ranami, grożącemi zatruciem krwi, czy z pogruchotanemi kośćmi, błagających o rychłą śmierć, jako zbawienie, przychodzi nam niewątpliwie na myśl, ile istnień ludzkich możnaby od śmierci i cierpień uchronić, gdyby każdy ranny nawet znalazł szybką, a skuteczną pomoc lekarską. Stwierdzono bowiem, iż większość poległych w bitwie, to nie doraźnie zabici, lecz ranni, którzy nie otrzymawszy rychłej pomocy, konali godzinami z upływu krwi, z rozwijającego się zakażenia, tratowani nieraz przez konie i wozy. I mimowoli myśl nasza zwraca się do owych czasów, w których w mieszkaniach, opuszczonych przez mężczyzn, kobiety skubały szarpie, stanowiące dawniej jedyny znany opatrunek, zraszając je łzami...

Na szczęście, dziś chirurgja wojenna posiada liczniejsze i doskonalsze środki opatrunkowe. I przyznać trzeba, iż postęp w tym kierunku jest olbrzymi; bodaj nawet czy nie większy od postępu na drodze wynajdywania środków niszczenia życia ludzkiego. Główna uwaga zwrócona jest, rzecz jasna na rany postrzałowe, gdyż rany od broni białej (szable, lance, bagnety i t. d.) stanowią najwyżej tylko $\frac{1}{2}\%$ wszystkich ran na wojnie. W miarę, jak broń palna doskonaliła się, przechodząc od strzelb pierwotnych, skałkówek z panewkami i przybitkami, do karabinów odtylcowych z gotowymi nabojami, zaopatrzonymi w kapiszon i lufami gwintowanemi, a w artylerji kule działowe zostały zastąpione granatami i szrapnelami (rys. 1), które pękając w powietrzu, zasypują nieprzyjaciela setkami kul ołowianych, chirurgja wojenna starała się zbadać działanie każdej nowej broni i wynajdywać środki szybkiego a skutecznego gojenia zadawanych przez nią ran.

Nie mogąc w artykule naszym wdawać się w szczegóły tej sprawy, wymienimy tylko ważniejsze formy ran, jakie w ostatnich wojnach najczęściej się ujawniały.



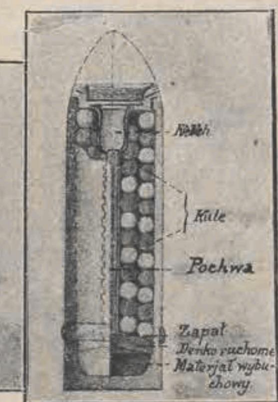
Rys. 4. Przebicie kulą grubszej części kości.

Rany postrzałowe od kul dzisiejszych karabinów są zazwyczaj bardzo małe, wielkości ziarna grochu (rys. 2), a odnośne uszkodzenia mięśni stosunkowo nieznaczne. Rana przedstawia wąski kanał. Naczynia krwionośne nie uchylają się przed kulą, lecz zostają przedziurawione. Z powodu małego otworu wylew krwi następuje przeważnie wewnątrz rany. Kości, w środkowej, kruchej części zostają pogruchotane (rys. 3), bliżej zaś stawu bywają najczęściej tylko przedziurawione (rys 4). Bywały wypadki, iż żołnierze z ranami postrzałowemi stawu kolanowego, powracali konno kilkakrotnie dla opatrunku z pola bitwy. Postrzał czaszki i mózgu nie bywa już dziś uważany za bezwzględnie śmiertelny, zwłaszcza jeżeli wystrzał nastąpił ze znacznej odległości. Leczenie ran postrzałowych płuc miało już wielokrotnie przebieg pomyślny, a nawet postrzały serca udawało się wyleczyć całkowicie i utrzymać chorych przy życiu.

Najniebezpieczniejsze są dotąd jeszcze rany brzucha, sprowadzające wskutek wystąpienia kału zgo-



Rys. 2. Rany postrzałowe skóry. (Na lewo otwór wejściowy, na prawo otwór wyjściowy kuli.



Rys. 1. Przekrój szrapnela.

rzele i zapalenie przepony brzusznej, jak i uszkodzenia nerek, wątroby, śledziony, powodujące silny wewnętrzny krwotok. Najgorsze skutki sprowadza działanie nabojów armatnich.

Zabiegi lecznicze przy postrzałach zostały w nowszych czasach w porównaniu z dawniejszymi znacznie uproszczone. Główne dążenie polega na zabezpieczeniu rany przed zanieczyszczeniem, co wobec małych rozmiarów ran, zadawanych przez nowoczesne kule, udaje się osiągnąć łatwiej, niż dawniej. Każdy żołnierz zaopatrzony jest w opatrunki z dodaniem drukowanej instrukcji i może w razie lżejszych ran sam sobie lub koledze pierwszy opatrunek nałożyć. W wypadkach cięższych załatwiają to sanitarjusze, maszerujący z wojskiem w przednich szeregach. W pierwszych chwilach ranny żołnierz nie czuje bólu prawie wcale i często dopiero na widok ciekącej krwi dowiaduje się, że jest ranny. Stan psychiczny, wywołany udziałem w bitwie, rozstrój nerwowy, osłabiają wrażenie bólu. Każdy ranny w bitwie przedewszystkiem łaknie wody. Uczucie to wynika z utraty krwi i znużenia w czasie walki. Oddziały sanitarne wiozą z sobą z tego powodu zapasy wody w pęcherzach, filtry i t. p. Drugiem zadaniem sanitarjuszów jest unieruchomienie uszkodzonego narządu, w tym celu są oni zaopatrzeni w zapasy masy gipsowej, szyny i t. p.

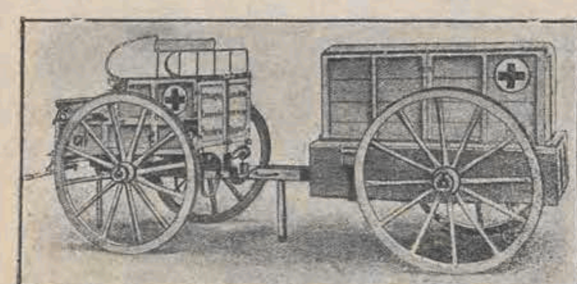
W dawniejszych czasach kule zazwyczaj pozostawały w ciele rannego; wobec siły, z jaką biją dzisiejsze karabiny, wypadek taki należy do wyjątków. Aby jednak módz w tym razie szybko odnaleźć kulę, tkwiącą w człowieku (rys. 5), zaprowadzono aparaty rentgenowskie przewożone w wózku (rys. 6) służące zarazem, jako pomocniczy środek djagnostyczny. Do ważniejszych jeszcze zadań chirurgji polowej należy jak-najszybsze przeniesienie rannego pod jakikolwiek dach, chroniący go od skwaru, deszczu i t. p. Pierwsze, najprędzej na miejscu ustawić się dające pałatki dla rannych ustępują wprawdzie pod względem wygody przewiewnym pawilonom z cienkich deszczułek, a zwłaszcza przenośnym barakom lazaretowym również, jak one wożonym za wojskiem, lecz dla rannych są na razie nader pożądane, jako dające się ustawić bez zwłoki.



Rys. 5. Fotografja rentgenowa kuli tkwiącej w ciele.



Rys. 3. Zgruchotanie postrzałem kruchej części kości.



Rys. 6. Wóz z aparatem rentgenizacyjnym.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane**, w tekście—75 k. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop. Ogłoszenia obliczają się na wiersze petitowe

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 9 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Feliks Kwaśniewski**. Kierownik liter. **Wacław Grubiński**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.